

P I O N

Wydane z dubletów
Bibl. Publ. m. st. W-wy

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 18 KWIECZNIA 1936 R. * NUMER 16 (133)

TREŚĆ: ADAM UZIEMBO: Zamierzenia i środki * TADEUSZ ŁOPALEWSKI: Kabala * LEON PIWINSKI: W ostatniej chwili * FELIKS ARASZKIEWICZ: Nowa seria listów Bolesława Prusa * JAN ST. BYSTRON: Próby podtrzymania dawnej kultury ludowej * ADRJAN DIVEKY: Zgon przyjaciela Polski * JAN KOTT: Przekłady *



JERZY MARLICZ: Podróże i przygody * Etnografja * JÓZEF SZPECHT: Popularyzacja wiedzy * ALEKSANDER CZYZEWSKI: Harcerstwo * ST. FURMANIK: Muzyka * BOHDAN KORZENIEWSKI: Teatr * W. BAK: Przegląd prasy * T. UNKIEWICZ: Mimochodem * Kronika.

ZAMIERZENIA I ŚRODKI

Niezmiernie ciekawe uwagi o naszym nauczaniu B. Suchodolskiego, które zapewne dobrze utkwiły w pamięci każdego z czytelników *Pionu* (a wywołały też echa nawiązań), powinny się stać przedmiotem bardzo poważnej i wyczerpującej wymiany zdań.

Czy będą? — Trudno przewidzieć, gdyż każdy, kto zechce się wypowiedzieć poważnie w tej sprawie, napotka na zasadniczą trudność w postaci dotkliwego niedostatku danych pewnych i stwierdzonych o skutkach prac naszych uczelni. Wszystko, co mamy w tej dziedzinie, to spostrzeżenia, spostrzeżenia nawskroś podmiotowe. Oto mówimy: uczelnia przeciąża pamięć wychowanków znaczną ilością wiadomości niepotrzebnych, które potem człowiek wyrzuca z pamięci bez żadnej ujemy dla własnego ukształtowania. Ale — czy przeprowadzono wśród ludzi pracujących już zawodowo, zajmujących pewne stanowiska w służbie państwowej, społecznej, wojskowej, co w ich pamięci z wiadomości nabytych w szkole pozostało? Czy poddano bodaj parę setek takich ludzi próbnemu przepytaniu według szczebli nauczania powszechnego czy średniego? Nie. Danych tego rodzaju nie mamy i nie gromadzimy.

Tak samo nie zebrano, jak dotąd, odpowiedzi od należytej ilości ludzi na pytania, jaką rolę w ich życiu odegrała znajomość matematyki, fizyki, łaciny, religii i t. d. Czy im się kiedy przydała? Do czego? Pożytek tych wiadomości potwierdzamy lub odrzucamy na podstawie tylko własnych doświadczeń lub rozmów ze znajomymi.

Nie posiadamy też jeszcze ważniejszych rzeczy, zdawałoby się zupełnie niezbędnych. Nie mamy np. pojęcia, w jakiej mierze ukończenie takiej lub innej uczelni wpływa istotnie na wybór zawodu przez wychowanków. Przypuszczamy, że wszyscy ukończeni medycy są lekarzami. Czy słusznie? Ale dla nikogo nie jest tajne, że nie wszyscy prawnicy idą na obrońców lub oskarżycieli, sędziów czy urzędników. Co się dzieje z doktorami lub magistrami innych wydziałów wczelnic? Toż nie urobiliśmy nawet sposobu badania tych zagadnień.

Pokładamy obecnie wiele nadziei w nauczaniu zawodowym. Słyszymy od góry namowy do kierowania ku niemu młodzieży. Sama ona coraz liczniej do tego rodzaju szkół się garnie. Stwierdzamy to z zadowoleniem.

Ale, znowu nie wiemy, jaki odsetek tych, co dotąd ukończyli te szkoły, istotnie wyzyskał nabyte umiejętności dla zarobku? Spostrzeżenia? Spostrzeżenia, jakkolwiek zawodne, dają zestawienia mocno zastanawiające.

Gdzie są ci, co pokończyli niższe szkoły rolnicze? Jest pewna ilość instruktorów, jest pewna ilość innych urzędników samorządowych. Ilu powróciło na własny zagon? Ilu i w jakiej mierze usiłowało podnieść na nim gospodarstwo? Z jakim skutkiem?

Stykaliśmy się w pewnym okresie oświadczenia z zespołem uczniów ślusarstwa artystycznego w szkole przemysłowej. Z pośród nich zarabkował w tym zawodzie po ukończeniu szkoły jeden. Obliczenia, przeprowadzone przez samych wychowanków, wśród jednego rocznika szkoły przemysłowej krakowskiej wykazały, że przy zawodzie zostało dwóch. Jeden z kierowników kursów kilimarskich z przerażeniem spostrzegł, że kształci dziewczęta na... stenotypistki. Takie przykłady można mnożyć w nieskończoność. Ale niestety wszystko to są tylko spostrzeżenia jednostek. I tylko wobec niedostatku zestawień liczbowych musimy się na nich opierać. Pokusimy się i o wnioski.

Mam wrażenie (ostrożność nie pozwala mówić o czym innym), że najmocniej utrwala w zawodzie szkoła wyższa. Im niżej będziemy schodzili po szczeblach nauczania, tem bogatsze będzie zróżnicowanie zawodów, na jakie rozbiegają się kończący. Być może, iż wyjątek stanowią uczelnie powoływane do życia przez zakłady przemysłowe w dążeniu do przysposobienia pracowników. Powiadamy znów: być może, gdyż i tu nie mamy pewnych zestawień liczbowych. Szkoły, nie związane z żadną wytwórną, stają dla młodzieży odeskoczną — ale do czego? Nie wiemy.

Dr. Suchodolski wskazuje na jedną przyczynę tego zjawiska — oderwanie nawet zawodowego szkolnictwa od życia. Wysznuwa nawet stąd wnioski o wyższości, rozważnie postawionego, terminatorstwa.

Nie wyczerpuje to sprawy. Przecież znaczna liczba szkół wypuszcza znacznie lepiej urobionego rzemieślnika niż warsztaty nawet najlepiej postawione. Czeladnik, wychodzący ze szkoły, stoi na poziomie stoosunkowo bardzo wysokim. A jednak? Idzie po zarobek gdzieindziej. Dlaczego? Oto prosto dlatego, że ten krąg ludzi, w jaki go wciągnęła szkoła, stoi niżej. Człowiek broi się przed towarzystwem, jakie tam znajduje. Nie brak przygotowania, ale wyższe uzdolnienie i wyższe dążności popychają go gdzie indziej. Młodzieniec nie chce przystać na opadanie towarzyskie. Ale nie jest i to przyczyna wyłączna.

Istotnie, dr. Suchodolski zupełnie słusznie mówi, że szkoła nie wprowadza ucznia do wytwórczego życia. Rzemieślnik np. nie nauczył się w szkole osłaniania niechlujstwa wykonania, jego nierzetelności. Więc dla większości przedsiębiorstw jest nieprzydatny. A przecież nie będziemy doradzać wyposażenia wychowanków w tę umiejętność. To przecie także obniżenie.

Same te dwa wypadki dowodzą, że, jeżeli pragniemy utrzymać ukończonych zawodowców przy wytkniętym kierunku za-

robkowania, trzeba 1. ograniczyć ich ukształcenie ogólne i pozostawić na poziomie nie wyższym od dzisiejszego rzemieślniczego, 2. wprowadzić naukę oszczędności.

Trudno o większą niedorzeczność. Trzeba zatem poszukać wytycznych zupełnie gdzieindziej.

I tu znowu jesteśmy na jednej z dr. Suchodolskim drodze. Trzeba istotnie wyrwać się z pod jarzma „dydaktyków“. Nie wystarczy gadać o sposobach kształcenia przedewszystkiem gospodarczego rodzaju. Toż chodzi tu o to, by jak najprędzej obdarzyć młodzież sprawnością do pracy wytwórczej. I dalej: — zadaniem naszym na tem polu jest nie tylko wpojenie w samych wychowanków pewnej ilości wiedzy i umiejętności do wyniesienia na sprzedaż, ale podniesienie i ulepszenie samej wytwórczości jako takiej. A jeżeli wrócimy do człowieka, to nie możemy poprzestać na wdrożeniu go do stolarstwa czy kowalstwa, ale winniśmy dostarczyć mu możliwość wykonywania zawodu.

Wiadomo: nie dość jest zboże wymłócić i przewać a oczyścić — trzeba je dowieźć na miejsce i sprzedać — znaleźć kupca. Uczeń umie już kuć konia, robi sprawnie podkowy, ale nie wie, gdzie są te konie, które trzeba podkuć i kto potrzebuje podków.

To też nasze uczelnie zawodowe winny być całkowicie przeobrażone, zupełnie inne znaleźć oparcie — z nowych, innych założeń wychodzić. Zadaniem ich nie może być wytwarzanie zawodowców w oderwaniu od życia, ale przysposabianie ludzi pracy, dla której pole jest gotowe, albo może być otwarte przez samą uczelnię. Należy całe zagadnienie rozpatrywać nie od strony szkoły, jako takiej, ale ze stanowiska zamierzeń. Szkoła sama nie może przybierać stałych kształtów, winna być giętkim, łatwo przystawalnym do potrzeb chwili i okolicy narzędziem.

I dlatego trzeba zgóry wyrzec się myśli o tworzeniu jej podług pewnych „typów“

stałych. „Typów“ trzeba tyle, ile jest potrzeb.

Weźmy przykład najprostszego. Czy jest, dajmy na to, rzeczą słuszną, zamierzając podnieść gospodarstwo rolną w pewnej okolicy, odrywanie młodzieży od wsi rodzinnej, przenoszenie kędyś do powiatu, gromadzenie w innym miejscu, gdzie gleba może być całkowicie odmienna i uczenie tego, co — napewno — wywoła sprzeciw ze strony jej ojców i matek? Czy nie lepiej jest stworzyć na miejscu przysposobienia nauki, z której będą korzystali wszyscy mieszkańcy, w oparciu nie o jakieś wzorowe gospodarstwo, ale o parę zgłoszonych dobrowolnie, żywych posiadłości rolniczych.

A gdzie się mają odbywać wykłady? Trzeba poszukać miejsca — może być dom ludowy, może miejscowa szkoła powszechna, może jakaś zajezdnia straży pożarnej — trzeba pomyśleć na miejscu. Oczywiście, że zanim nabierzemy wprawy w urządzaniu tego rodzaju nauczania, będzie wiele niedociągnięć — ale to pewna, że postępując tą drogą, nie wytworzymy już zastępu pół- i ćwierćinteligentów, ale podniesiemy świadomość rolniczą wsi, stworzymy spółdzielnię, ujmijmy w słuszny sposób zbył plodów rolniczych, nauczymy ludzi obliczeń, księgowania — i po jakich dwóch latach rozpoczynamy to samo na innej wsi.

Trzeba się wyrzucić całkowicie zgnębionego nałogu myślenia o uczeniu zawodowym jako o zamkniętym zakładzie, jaki nam pozostał klasztor.

A teraz weźmy inny przypadek. Mamy grono młodzieży nie rolniczej, synów robotniczych, sieroty. Wszystko to albo nie ma domu, albo musi wyjechać do domu po zarobek — przysposobić się do życia samodzielnego. Szkoła, która wyczy ich stolarstwa lub introligatorstwa i w wieku lat 15 — 18 wyrzuci na ulicę, taka szkoła, choćby nawet nosiła nazwę zawodowej, będzie właśnie tem samem, czem dziś jest gimnazjum — wytwórną wykolejeńców. Zawodowiec w oderwaniu, wypuszczony przez nią, będzie miał tem mniej umiejętności życiowej, im mniej- szej będzie jego ukształcenie ogólne.

Musiemy sobie w tym wypadku postawić pytanie, nie jakiego rzemiosła uczyć należy, ale: co ci ludzie, wychowani przez nas, mają wytwarzać? Jakie przedmioty naprawdę są potrzebne i mogą być zbywane bez straty? Co to jest? Czy zwierzęta futerkowe, czy ziola lecznicze, wieczne pióra, struny, czy buty?

A skoro określiliśmy już potrzebę gospodarczą, przystępujemy do tworzenia zespołu do czynienia jej zadość. Część tego zespołu — to nauczyciele techniczni — wytwórcy dojrzały. Dalej wprowadzamy tam kierowników zbytu, zakupu. Obok ich pomocników pracują uczniowie, zaznajamiając się z całym przebiegiem życia zakładu. Uczeń poznać musi wszystkie jego szczegóły. Skoro tylko praca jego daje dochód, winien dostać wynagrodzenie i dowiedzieć się, co z jego pracy idzie na utrzymanie zakładu, co na opłatę za naukę, co na wyżywienie, co wreszcie jemu przypada i jakim wymaganiem ma sprostać, by otrzymać więcej. Zarobek jest czynnikiem wychowania i tak winien być uwzględniany.

Szkoła tego rodzaju wypuszcza nie ludzi, ale zespoły gotowe, spółdzielnie pracujące na określonym warsztacie. Nauczyciele zaś, po należytem postawieniu tego warsztatu, opuszczając go, odstupując młodemu pokoleniu, jak opuszcza królowa pszczoł swój ul, aby młodszą następczynią pozostać przy domu.

K A B A Ł A

Zonie

Potrzebne jest natchnienie, twa wiedza, moja wiara
I talja kart, by zajrzeć w przyszłości obce oczy.
Układasz mi kabalę: kier, piki, trefle, kara —
Nic z tego nie rozumiem, a tu się los mój toczy.

Śladem twojego palca, co mi wskazuje drogę
Przez kolorowe rzędy waletów, dam i asów,
Podążam pilnym wzrokiem, lecz pojąć wciąż nie mogę:
Jakże to w tych obrazkach odkrywasz obraz czasów?

Wierzę ci, ale pozwól: gdy porą wieczorową
Wyjdziemy w puste pola, gdzie strach się w rżyskach ślania,
Gdy drzewa fugą cieniów przeleca nam nad głową
I księżyc fosforyczny zatopi się w tumanach,

Gdy srebrne Lwy i Ryby na niebios ekliptyce
Odsłonią się spojrzeniu i spłyną wgląd zodiaku,
I twarze zmrozi powiew biblijnej tajemnicy,
I serce się zabłąka pośród kosmicznych znaków, —

Pozwól, że się zamyszę jak ty nad swą kabalą;
To wszystko na co patrzysz — mnie się inaczej widzi,
Cokolwiek przecież powiem — powiedziałbym za mało,
Mówiłbym jak poeci, a trzeba jak wróżbici.

TADEUSZ ŁOPALEWSKI

41003 / 16 / 629

Znamu zarzuty przeciwko pracy płatnej uczniów w zakładach gospodarczych. Wiemy, że bywają oni nieraz nielitośnie wyzyskiwani. W naszym przykładzie to nie grozi, gdyż niedobór z powodu niepełnej pracy uczących się, pokryty zostanie z pieniędzy społecznych czy państwowych. Na tem polegają wydatki na szkolnictwo zawodowe.

Pomijamy zupełnie uczelnie tworzone przez zakłady wytwórcze celem przygotowania własnych pracowników. Znanie są one dobrze zwłaszcza w krajach o wysokim uprzemysłowieniu — znane i od strony dodatniej i ujemnej. Mamy sporą literaturę o nich. Wypada tylko wspomnieć, że utrzymywanie szkoły przedzłazianej w czasie zastojów w tej gałęzi przemysłu mocno traci sztywnością ze zdrowego rozsądku.

Na tem rzecz cała polega. Szkolnictwo zawodowe, jeżeli będziemy z niem postępować jako z chemią, co musi nieodwołalnie zostać wciśnięte w kratkę powszechnego rozkładu szkolnictwa — chyba tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności może odpowiedzieć wymaganiom życiowym. Nauczanie zawodowe musi wprowadzać w zawód, więc przystosowywać się coraz to do innych okoliczności, a nawet wymagać coraz innego przygotowania dla wstępujących. Postać jego winna być przedewszystkiem giętka i jak najbardziej czuła na wszystkie zmiany, jakie zachodzą w układzie sił gospodarczych i społecznych. Każdy zespół, jaki tworzymy, może mieć inne oblicze i zawierać odmienną treść. Nie programy, ale ludzie i potrzeby stanowią probierz do nakreślenia wytycznych działań.

W OSTATNIEJ CHWILI

Referat Karola Irzykowskiego¹ informuje czytelników o zmianach w naszej pisowni, jakie mają być już niebawem (21 kwietnia) uchwalone przez Komitet Ortograficzny P. A. U. na ostatnim, plenarnym posiedzeniu. Po przegłosowaniu przygotowanych przez komisję wniosków musi być przeprowadzona aprobata pełnego tekstu nowych przepisów ortograficznych przez plenum Komitetu, po czym przepisy te będą przesłane do Ministerstwa W. R. i O. P. do zatwierdzenia jako pisownia obowiązująca w całym szkolnictwie.

Referat akademika Irzykowskiego utrzymany jest w tonie dobroniosnym i prawie idyllicznym. Nie mogę się dostroić do tego tonu. To, co zawiera referat, a także to, co przynosi *V Komunikat Komitetu Ortograficznego P. A. U.*, nie usposabia zbyt optymistycznie. Owszem, są tam rzeczy słuszne i szczęśliwie sformułowane (np. sprawa łącznego lub rozłącznego pisania), jest jedna uchwała polepszająca obecny stan (sprawa pisania t. zw. *mots savants* — przez j po c, s, z, a przez i po wszystkich innych spółgłoskach), ale nie doprowadzająca zagadnienia do ostatecznego, naprawdę zadowalającego rozstrzygnięcia; poza tem jednak dwie uchwały (nierozróżnianie dopełniacza liczby mn. owych *mots savants* oraz zunifikowanie odmiany przymiotników, zaimków i liczebników męskich i niżeńskich w narzędniku i miejscowniku liczby poj. i wszystkich trzech rodzajów w narzędniku liczby mn.) są wyrażeniem i niepotrzebnym pogorszeniem przepisów dotychczasowych. W końcu jest jeszcze kilka drobniejszych spraw (pisanie nazw „mieszkańców części świata, krajów, prowincji”; pisownia kilku wyrazów poszczególnych; wszędzie jeden przepis interpunkcyjny), które budzą różne wątpliwości. Postaram się w możliwie najtrębszy sposób rozpatrzyć wyżej wymienione punkty.

1. Co do pisowni *mots savants*, czyli tak zw. nieśmiertelnej kwestji jotowej. Po długich debatach, po rozpatrzeniu i odrzuceniu kilku projektów (czasem bardzo osobliwych, jak projekt prof. Jana Otrębskiego, który chciał, żeby pisano: *Marja, Danja, emocja*, ale *kwestionaryusz, patryotyzm, emocjonalny, pasjonat* — czyli chciał jednoczesnego stosowania wszystkich dotychczas stosowanych prób rozwiązania tego problemu), zatrzymano się ostatecznie na projekcie następującym: W słowach tego typu będzie się pisało (przed samogłoską) j po c, s, z: *Francja, pensja, Azja*; po wszystkich zaś innych spółgłoskach i, a więc: *Arabia, filozofia, religia, hiena, anarchia, autarkia, lilia, akademia, mania, kopia, Liwiusz*. Przepis ten, w zasadzie, odnosi się do każdej pozycji w słowie: tak samo w sylabach końcowych jak początkowych i środkowych. A jednak potrzebne były zaraz wyjątki: pozostawiono *Syjon* (pewnie też *syjonizm*), *Syjam, cyjan*; obok

Nie będziemy dowodzić, że wydatki na tego rodzaju nauczanie będą nie tylko nie wyższe, ale znacznie niższe od obecnych. Odpadają konieczności urządzeń osobliwych, tak zwanych wzorowych, to jest gdzie w życiu poza szkołą nie spotykanych, odpada ogromna ilość wszelkiego rodzaju zbiorów, okazów. Uczniowie oglądają to, co jest, u siebie, porównują na wycieczkach z innymi pracownikami, z innymi urządzeniami, będącymi w ruchu. Zakłady powstają, a pracownicy umarają środki w nie włożone, otwierając możliwość zakładania coraz to nowych wytwórni.

Wniosek może być tylko jeden. Nasza ustawa o nauczaniu zawodowemu powinna ulec zmianie bardzo zasadniczej. Ministerstwo Oświecenia winno znacznie rozszerzyć swe uprawnienia, zyskać swobodę zakładania uczelnianych pracowni poza istniejącymi „typami”. Czy te „typy” mają pozostać? Sądymy, że zmiecie je samo życie i to w niedługim czasie.

Ale niezależnie od tego, czy te nowatorskie pomysły trafią komu do przekonania, czy nie — istotnie pilną już dziś i to pilną ze wszech stron rzeczą jest podjęcie poważnych badań co do dotychczasowych skutków nauczania.

Sądymy, że zupełnie niespodziewane rzeczy przyniosłoby nam powszechne przepytanie inteligentów na stanowiskach z poszczególnych przedmiotów w pięć, dziesięć, piętnaście lat po ukończeniu szkoły. Sądymy, że zgoła nieoczekiwane rzeczy przyniosłoby nam zestawienie, jak się przydają ludziom umiejętności zdobyte w uczelniach. Ministerstwo winno znaleźć środki na przeprowadzenie tych badań.

I dopiero posiadanie ich wyników pozwoli na oparcie wniosków nie tylko o spostrzeżenia i wrażenia, ale o rzeczywistość — powiedzmy — rzeczywista.

ADAM UZIEMBŁO

triumf „wolno pisać” *triumf*, a w pisowni ściśle naukowej „dopuszcza się nawet połączenia” s, z, c z i, np. *sial*. Nie osiągnięto więc jednolitości zupełnej, co trzeba pamiętać, nawet gdyby się samą zasadą ogólną uważało za trafną i szczęśliwą.

Skomplikowana dyskusja nad tą odwieczną sprawą przypominała bohaterские wysiłki w celu dostania się przez niedostępne okno do domu, którego wygodne drzwi stoją otworem. Ale dyskusja nie była bezowocna. Przedewszystkiem zgodzono się ogólnie, że sprawy tej nie można traktować z punktu widzenia fonetyki, t. j. zgodności z wymową; że potrzebne tu są znaki konwencjonalne, tylko te znaki muszą się opierać na jakiejś konsekwentnej i jednolitej zasadzie. Najwięcej słyszności miał dr. St. Jodłowski ze Lwowa, kiedy mówił, że „system dawny (t. zn. z przed r. 1918) był prosty: po spółgłoskach miękkich (odczuwanych jako miękkie) było i; po spółgłoskach twardych było y. Nie każdy sobie to uświadamiał, ale czuł, że co innego jest *cia, sia, a* co innego *cy, sy; nia, lia* a *rya; pia, bia, wia* a *tya, dya*. Piszący raz na zawsze zapamiętał te połączenia i to mu wystarczyło”. Jednakże dr. Jodłowski z tego słusznego stwierdzenia nie wyciągnął wniosków praktycznych. I rzecz szczególna, że przy tylu przeróżnych, czasem wprost rozpaczliwych próbach wybrnięcia z trudności żaden z członków Komitetu nie postawił jedynego logicznego wniosku: wrócić do zasady Akademii z przed r. 1918! Tak wielka jest do dziś sugestia, że tamte przepisy były w tym punkcie przestarzałe, a wprowadzenie *joty* w r. 1918 było „postępem”. Tak bardzo, mówiąc słowami prof. Nitscha (*Język Polski*, styczni — luty 1936), — „mysłmy się w tej *jocie* zakochali, uznaliśmy ją za jakiś symbol ortograficznej fonetyczności, postępu...” A przecież z przewertowania całego materiału dyskusyjnego, jaki w tej sprawie ogłosił Komitet Ortograficzny, nasuwa się z koniecznością jeden wniosek: trzeba powrócić do pisowni tych wyrazów przez i, y — tak jak pisano od w. XVI do początku w. XX. Unifikacja na *jotę* nie udała się; monizm jotowy okazał się niemożliwy; próbowano monizmu na i, ale bezskutecznie: trzeba było wprowadzić j po c, s, z; o monizmie na y nie może być mowy. Mamy więc znowu dualizm i, j. Czy on naprawdę będzie lepszy od starego (odwiecznego) dualizmu i, y? Zastanówmy się nad tem.

Nowy projekt, jak wspomniałem, ma dobre strony; jest niewątpliwie polepszeniem sytuacji dotychczasowej. Zniknie płatnina z pozycjami (inaczej na początku słowa, inaczej w innych pozycjach), której nikt się nie mógł nauczyć, pomimo że zasada wydawała się prosta. Znikną takie formy jak *Albjon, filozofja, magja, psychiatrja, austriacki, matryarchat, lilja, linja, mumsja, Hipjusz, lewjan*, nie uzasadnione ani etymologicznie ani fonetycznie, oddalające nas nie tylko, jak

pisze prof. Nitsch, od języków zachodnich, ale również od wszystkich języków słowiańskich, wyglądające — jak na mój gust — dziko i barbarzyńsko (pomimo przeszło dwudziestoletniego przyzwyczajania się do nich — nie mogłem się przyzwyczaić!). Pozostaną jednak niezliczone postaci na *cja, sja, zja* (najczęstsze w tej rodzinie wyrazów!). Ale to jotowców nie będzie razić. Natomiast ukaza się formy całkiem nowe, niespotykane od w. XVI—XVII: *Maria, kwestia, komedia* i wszystkie ich odmiany. Wątpię, czy to się łatwo przyjmie. A przeto jednak sporo wyjątków! Tymczasem przy dualizmie i, y nie byłoby wyjątków żadnych: *triumf* byłby *triumsem* nie w drodze wyjątku, tylko z samego prawa: niepotrzebny byłby wyjątek dla *Syjonu, Syjamu, cyjanu* — doskonale wystarczyłby *Syon, Syam i cyan*, a nawet w „pisowni ściśle naukowej” najlepiej wyglądał *syal*... Następnie, jeżeli chodzi o zmechanizowanie, o pisanie bez ciągłego namysłu, to żaden system nie ma więcej po temu danych jak właśnie dualizm i, y. Przecież w tych słowach po szeregu *b, f, g, h (ch), k, l, m, n, p*, w piszemy i, a po szeregu *c, d, r, s, t, z* piszemy y przed spółgłoskami, nie myśląc się nigdy, więc i w pozycji przed samogłoską trudno przewidywać pomyłki. Zresztą wyżej przytoczone stwierdzenie dr. Jodłowskiego ma niezaprzeczoną wymowę. Przy mechanizacji odgrywa wielką rolę i to, że przy tym sposobie pisania wszelkie formy pochodne zgadzają się z zasadniczą formą wyrazu: *religijny, religijność, religijka* przyzwyczajają oko mechanicznie do formy *religia*; ale tak samo jest z *sesyjka* przy *sesji, komedijka* przy *komedii*, a *historyczność* przy *historji*.

Słowem, jeżeli rezygnujemy z fonetyczności (a wiemy, że fonetyczność tutaj jest czystą chimerą: pisownia jotowa, przerobiona w imię fonetyczności, jest od tego ideału jak najdalej!), to jedyną zasadą prostą, konsekwentną, dającą się przeprowadzić bezwyjątkowo i mechanicznie, jest dawny dualizm i, y. Sądzę również, że ten dawny system miałby większe widoki powodzenia nawet ze względów taktyczno-praktycznych od nowego projektu. Pisownia i, y nie zamarała zupełnie; wielu ludziom, niekoniecznie starszym, przemawia ona zawsze do przekonania, chociaż nie występują w jej obrocie, zasugerowani zwycięstwem *joty* (jak widzimy, pozornem!); istnieją olbrzymie zapasy druków w tej pisowni; niektóre instytucje naukowe (Towarzystwo Naukowe we Lwowie) lub redakcje (*Ruch Filozoficzny*) trzymają się jej do dziś; wreszcie znaczący chyba coś wielowiekowa tradycja. I jeszcze jeden wzgląd: nowy projekt — dualizm i, j — uniemożliwia odróżnianie dopełniacza liczby mnogiej w wyrazach typu *mots savants*, a odróżnianie to — wbrew uchwalonemu wnioskowi Komitetu — jest starym dobrem polszczyzny, potrzebą piszących i korzyścią, której nie należy się pozbawiać. Ale to już sprawa drugiego punktu tych uwag.

2. Niby to ma być ułatwienie: poco pisać *historji* (czy *historii*), a kiedy indziej *historjy*? Pamiętać, zastanawiać się; piszemy jednakowo, mechanicznie. Otóż nie każde ułatwienie jest zyskiem; czasem więcej się traci przy ułatwieniu niż zyskuje. W tym wypadku widzę niewątpliwą stratę. Argumenty przeciwników tego rozróżnienia są takie: 1. jest ono sztuczne; nie odpowiada mu żadna różnica w wymowie; jeżeli ktoś, pod wpływem pisowni, wymawia: *nie chcę słuchać tych audycy*, to wymawia sztucznie i pretensjonalnie; 2. w wielu wyrazach rodzimych niema tego rozróżnienia, np. *tej głębi i tych głębi*, tak samo *powieści, wsi, nocy* i t. d.

Co do pierwszego argumentu. Nie nazywałbym sztucznością formy, która jednak w języku istniała. Mam w ręku egzemplarz *Postylli* ks. Marcina Białobrzeckiego z r. 1581. Tytuł tak się zaczyna: *Postilla orthodoxa, to jest wykład świętych Ewangelii Niedzielnich*... Tak samo w tekście, jeżeli mowa o jednej ewangelji, to mamy pisownię *ewangelii*, jeżeli o czterech, to — *ewangelii*. Ale może to tylko różnica pisowniana, a w wymowie było jednakowo? Otóż nie: i w wymowie była różnica. Przekonywają o tem wiersze. W *Goffredzie* Piotra Kochanowskiego, pieśń XVI, oktawa 23 (podług wydania z r. 1618) czytamy taki wiersz:

Do przyrodzonych swych *lilij* włożyła —

natomiast tamże, pieśń XV, oktawa 46, jest wiersz:

Włos niesie — i lód *liliej* nie mieni —

Posługuję się wydaniem „Biblioteki Narodowej” z pisownią zmodernizowaną; oczywiście w drugim wierszu jest w oryginale pisownia *liliej*; w pierwszym mogło być wydrukowane *lilij* lub *lilii*, ale i w tym drugim wypadku rytm wskazuje, że wymawiano *lilij*, dwusylabowo; tylko w liczbie pojedynczej była wymowa trzysylabowa. Tak samo w wierszu (pieśń XX, oktawa 29):

Tak wiele *kopij* miały obie strony —

wymowa *kopij* była dwusylabowa: gdy tymczasem w liczbie pojedynczej zawsze tu mamy wyraz trzysylabowy: *kopija, kopii*.

Otóż w dawniejszej polszczyźnie to rozróżnienie było żywe i nie miało w sobie zapewne nic sztucznego. Poza tem trzeba pamiętać, że wówczas wogóle dopełniacz l. poj. różnił się od dopełniacza l. mn. Było bowiem *historyey, Mariey, Franczey*, co liczbę pojedynczą zupełnie wyodrębniło od liczby mnogiej. Nam już trudniej tę różnicę utrzymać naszymi środkami, ale te środki mamy do dziś. Potrzeba rozróżniania jest tak silna, że należałoby zachować odrębność form nawet wtedy, gdyby była czysto pisowniana, bez żadnego oparcia w wymowie (tak jak to jest najczęściej w języku francuskim).

Teraz drugi argument. Że są takie same stosunki w wyrazach rodzimych. Ależ to nie racja! Cały olbrzymi, wciąż narastający słownik t. zw. *mots savants* ma inne zadania niż owe wyrazy rodzime. Używa go się w języku naukowym, w tekstach, gdzie ścisłość i precyzja jest konieczna — w matematyce, w fizyce, w astronomji; a zresztą i w naukach humanistycznych, i w dziennikarstwie to rozróżnianie często jest nie tylko wygodne, ale wprost konieczne. Weźmy choćby wspomniany już *V Komunikat Komitetu Ortograficznego*. Czytamy tam: „Prace Komitetu i komisji dobiegają końca”. Odrzuca wiemy, że było kilka komisji, nie jedna. Czy byłibyśmy tego pewni, gdyby było napisane zgodnie z uchwałą tego Komitetu: „Prace Komitetu i komisji dobiegają końca”? Albo weźmy jakikolwiek inny tekst (humanistyczny). W ostatnim numerze *Pamiętnika Literackiego* czytamy doskonałą pracę Romana Ingardena „Formy poznawania dzieła literackiego” i na str. 181, w przypisku, spotykam się z zdaniem: „narazie biorę pod uwagę tylko złożoność *operacy* poznawania dzieła”. Gdyby tu było napisane *złożoność operacji*, to dopiero po dłuższym namyśle, i po specjalnym zabiegu sprawdzenia, czy autor miał na myśli liczbę pojedynczą czy mnogą, zrozumiałbym, o co chodzi. W imię czego takie utrudnianie lektury? Cóż dopiero mówić o naukach „ściślych”, gdzie wiele od tego zależy, żeby wiedzieć, czy w danym miejscu chodzi o *teorję funkcji* czy też o *teorję funkcji*. Powtarzam, cała sprawa jest ważna i nie można jej złyć powołaniem się na analogię z *głębią*. Zresztą co do słów rodzimych, to i w nich odczuwało się i odczuwa niewygodę identyczności form tych dwóch przypadków. Nie dla innego powodu Krasicki pisał *mszów, muszłów, myszów*... Formy takie w pewnej epoce mnożyły się licznie — i jeszcze Słowacki z czulością wspominał o formie *niegramatycznościów*. Kto wie, gdyby nie wysilki ówczesnych rygorystów, to możebyśmy dziś wszyscy pisali *racjów* (czy *racyów*), *filozofjów* (czy *filozofjów*), tak jak piszemy *gimnazjów, muzeów* — i nie byłoby kłopotu. Ale i potem tworzone „nieprawidłowe” formy w celu zaznaczenia tej żywo odczuwanej różnicy. Słowacki tworzył formy *luteń, studeń, wieszę* zamiast *lutni, studni, wsi*, a już za naszych czasów powstały formy *kopalń, drukarń, czyteln*; mówi się też *dojechał do Alej*... Zatarcie tej różnicy w *mots savants*, gdzie ona jest właśnie najpotrzebniejsza, byłoby sprzeczne z tendencją językową, a co ważniejsza, byłoby zubożeniem językowych (włączam tu i „czysto pisowniane”) środków wyrazu. Dodam jeszcze, że wszystkie języki słowiańskie różnicę tę posiadają i konserwują ją należycie. Po rosyjsku *istorii* — *istorij*; tak samo po ukraińsku; tak samo w języku słowiańskim: *komediji*, ale *obszirnih komedij, tragedij*, ale *ritma romanov in tragedij*; w czeskim i słowackim końcówka liczby pojedynczej jest na e lub ie, a liczby mnogiej na ii (z końcówem i długim); w chorwackim (i serbskim) będzie np. „politycznej transformacji” — *politické transformacije*, a „politycznych transformacji” — *politickih transformacija*; bułgarszczyzna ma inny system deklinacyjny, ale i tam omawiana różnica występuje w sposób nie budzący żadnych wątpliwości. Tak więc tylko my jedni w rodzinie słowiańskiej mielibyśmy być kalekami na tym punkcie. Warto temu zapobiec. nawet gdyby różnica polegała tylko na pisowni lub miała być osiągnięta w drodze pewnej „sztuczności” w wymowie.

Muszę jeszcze wspomnieć o argumentach akademika Irzykowskiego. Że forma *historvi* i t. p. nasuwa mu skojarzenie z *ryjem*. Gdyby takie „argumenty” miały o czemś decydować w sprawach językowych, to wogóle byłoby źle z niemalym zasobem naszego słownika. Trzeba by się wręcz takich słów jak *leszczyna* lub *nodupadły*, bo mogą one komuś nasuwać „skojarzenia nieprzewzwoite”. O skojarzeniach, które może wwołać niewinny rzeczownik *stenotypistka*, hoję się nawet tylko napomknąć. Zresztą nie czas na żarty. Mówimy o rzeczach bardzo poważnych.

3. Co do unifikacji w odmianie przymiotników, zaimków i liczebników. Nie wdajemy się, żeby tutaj wogóle była potrzebna reforma. Lepiej było trzymać się zasady:

¹ Por. *Pion*, nr. 15 (132).

quieta non movere. Rzecz była ułożona dobrze i w nikim nie budziła niepokoju. Wątpię też, czy pomimo uchwał Komitetu odmianna *dobrym dzieckiem* zwycięży, O to nie-szczęśliwie dziecko walczył przez całe życie Kryński — i bezskutecznie. Przypuszczam, że Komitet nie będzie miał szczęśliwej ręki. Przewiduję, że reforma natknie się na głuchy, niezorganizowany, ale uparty sprzeciw. Z tą sprawą jest coś tajemniczego. W „naturalnej” wymowie, zarówno u ludu jak u inteligencji, niema tego rozróżnienia rodzajów. Nie jest ono uzasadnione historycznie i nie ma analogii w innych językach słowiańskich. To wszystko prawda. A jednak — coś w tem jest. Nie wydaje mi się, aby przepie Kopczyńskiego był tak całkiem „arbitralny”. Jest tu jakaś tendencja, zrodzona tylko na gruncie polszczyzny, ale bardzo silna. Może to jest „mechaniczny” wpływ formy mianownika: *dobry ojciec, dobrym ojcem, ale dobre dziecko, dobre-m dzieckiem*.

Nie znam dokładnie uchwał Komitetu co do tego punktu; podobno mają być jakieś wyjątki w stosunku do pewnych form „skostniałych”: będzie się pisać *utem*, nie *wtym* (ale czy będziemy mówili o *tem* i o *wem* czy o *tym* i *owym*?). Wszelkie wyjątki są rzeczą niepożądaną, a w tym wypadku bardzo niebezpieczną: będą źródłem zamieszania i nieporządku.

Zupełnie niepotrzebna była zmiana w nazwisku liczby mnogiej. Ma się pisać we wszystkich rodzajach *-ymi, -imi*. Dotychczasowy przepis, że *-emi* pisze się, jeżeli w mianowniku jest *e* (*dobre kobiety, dzieci, drzewa, stoły, szafy*), a *-ymi, -imi*, jeżeli mianownik kończy się na *y, i* (*dobrzy, mili ludzie, francuscy pisarze*) — był łatwy, praktyczny, zgodny z przeważającą wymową i z odwieczną tradycją. Bo sprawa jest stara. Zaglądam do *Apocalypsis* Reja z r. 1565 i czytamy: „*dobremi uczynkami swemi...*” (list 75); „*A jako też niewierni srogimi, tak doczesnemi iako i wiecznemi plagami mają być karani. A gdy się temu przypatrzemy nie tylko cielesnemi ale prawie duchowemi oczyma suymi...*” (list 47). Przykłady można cytować z każdej strony — i zawsze przeważa forma *-ymi*. Tak było i potem, aż do początków w. XIX i, oczywiście, do dziś. Przeczytałem kiedyś prawie wszystkie rękopisy Zygmunta Krasieńskiego: ani razu nie spotkałem formy *-ymi, -imi*. Forma ta brzmi i dzisiaj „sztywnie”. Dotychczasowy przepis, ograniczający ją tylko do rodzaju męskoosobowego, był najtrafniejszy. Przypominam sobie, że przepis ten nie tak dawno (*Język Polski*, maj — czerwiec 1920) był uważany „za istotny naukowo-praktyczny postęp nowej (z r. 1918) ortografji”. A jednak zmienia się go, i zmienia całkiem niepotrzebnie. W zasadach pisowni powinno być jak najmniej r u c h u: zmieniać, a raczej porządkować, tylko to co niestalone; co się nie przyjęło; co wytwarza chaos; zresztą *quieta non movere*.

4. Wreszcie parę spraw mniej ważnych. Co do sprawy pisania *Polak, Francuz* czy *polak, francuz* jestem tego samego zdania co akademik Irzykowski — i mam nadzieję, że Komitet ostatecznie pozostanie przy *Polaku*. Proponowałbym, aby przepis interpunkcyjny: „*wolacz od następnego wyrazu zasadniczo oddziela się przecinkiem*” (poczem idą wyjątki, kiedy „*wolno nie dawać przecinka*”) — zmienić na kategoryczne sformułowanie: „*wolacz zawsze oddziela się przecinkami od sąsiadujących wyrazów*”; poczem powinno iść wyjaśnienie, kiedy daje się na końcu wolacza wykrzyknik. Przepisów, które są tylko „zasadnicze”, nie powinno być w zasadach pisowni, a co do oddzielania wolacza przecinkami nie potrzeba żadnych wyjątków. Szerzą się takie sposoby pisania jak *Chodź Zosiu z nami*, ale pocóż to niechlujstwo sankcjonować przepisem ortograficznym?

Co do pisowni poszczególnych wyrazów. Nie zalecałbym np. pisania *hokej*. Takie „opolszczenia” zaśmiecają nasz język; lepiej pisać w formie oryginalnej *hockey* dopóki nie stworzy się nazwy polskiej. Wolalby *elixir, maximum* zamiast *elikeir, maksimum*, żeby zaznaczyć, że tu wymowa si inna niż w słowach polskich. Czemuż się tak bać tego *ixa*? Stanowczo protestuję przeciwko zalecaniu pisowni *mięki*. POCO to komu potrzebne i z jakiego tytułu? Dla zgodności z wymową? Ależ tej zasady nie stosowano wogóle (i słusznie!). POCO tworzyć nowy typ, skoro chyba przecież *lekki* pozostanie? A i co do wymowy sprawa nie jest przesądzona. Nie należą do ludzi, którzy wzorują się w wymowę na pisowni, ale *miękki* wymawiam z lekką geminacją „miękkiego” *k*; dla mojej więc wymowy pisownia *miękki* jest fonetyczniejsza niż *mięki*, a tak wymawiających jest napewno więcej. Ten *mięki* nie powinien przejść w ostatecznym głosowaniu Komitetu. Nie wiem czemu się kierował Komitet ustalając pisownię *paszyt* zamiast dotychczas figurującego w Słowniczku Akademii *pasorzyta*. Zdaje mi się, że etymologia wy-

razu przemawia za pisownią *rz*. Nie mogą dojrzeć potrzeby tej zmiany i kilku innych w tym samym guście.

Ale to są drobiazgi. Ważne rzeczy to: 1. pisownia *i, y* w całej kategorii *mots savants*; 2. odróżnianie dopełniacza w liczbie mnogiej tejże kategorii wyrazów; 3. pozostawienie bez zmian deklinacji przymiotników, zaimków, liczebników i imiesłowów przymiotnikowych. Z tych trzech postulatów bardzo łatwe do przeprowadzenia byłyby 2. i 3. Chodziłoby poprostu o pozostawienie dotychczasowych przepisów, co — w myśl zasady *quieta non movere* — byłoby najzdrowsze. Co do postulatów 1., to byłby nawrót do starej, dojrzałej i przez dzisiejsze pokolenia jeszcze niezapomnianej zasady, porzuconej przed

niespełna dwudziestu laty w imię fałszywie pojętego „postępu”.

Nie mam wielkiej nadziei, aby mój głos w tych trzech bardzo ważnych sprawach przekonał członków Komitetu. Sprawy te jednak przemyślałem oddawna i wielokrotnie; wiem o nich znacznie więcej i lepiej niż zdolałem tu w pośpiechu napisać. Niechże bodaj pozostanie ślad, że w czasie przeprowadzania reformy ortograficznej, która ma obowiązywać przez długie lata, były wypowiedziane publicznie i takie zapatrywania. Chciałem mieć prawo powiedzieć samemu sobie to, co wypisał Schopenhauer na końcu ciekawej swej książeczki *Ueber die deutsche Sprachverhinderung*: *Dixi, et animam meam salvavi*.

LEON PIWIŃSKI

NOWA SERJA LISTÓW BOLESŁAWA PRUSA



Bolesław Prus w latach 1895 — 1900

Tym razem są to listy Prusa do Erazma Piltza, znanego publicyisty i redaktora petersburskiego *Kraju*. Listów jest 30, pochodzą z lat 1884 — 1889, pisane z Warszawy lub Nałęczowa. Zewolila mi je przejrzeć i skopjować p. Helena Piltzowa, wdowa po ś.p. Erazmie, za co składam jej serdeczne podziękowania. Równocześnie dziękuję serdecznie p. Walerji Pleszczyńskiej, która łaskawie dopomogła mi w żmudnej pracy przepisywania listów w Bibliotece Krasieńskich — oraz kierownikowi tej Biblioteki za zezwolenie korzystania z listów, złożonych przez właścicielkę, p. Helenę Piltzową.

Dotychczasowa spuścizna korespondencji Prusa, znana ogółowi, zawiera dwa listy do Walentyny Olechnowiczowej, kilkanaście — do Oktawji Zeromskiej, kilkanaście — do Adolfa Święcickiego i dziewiętnaście — do żony — Oktawji Głowackiej. Obecna serja listów do E. Piltza stanowi poważne uzupełnienie dotychczasowych, tem ważniejsze, że dotyczy okresu wzmogłej twórczości literackiej Prusa, dając możność dość dokładnego ustalenia dat powstania pomysłów i tworzenia *Slawy*, odnalezionej przez Z. Szwejkowskiego i podanej do publicznej wiadomości w *Tygodniku Ilustrowanym* w roku 1934. Prócz tego znajdujemy w tej korespondencji autorytatywne informacje Prusa o perypetjach, związanych z drukiem *Omyłki* i zmianach tytułu tej noweli, jakie przechodziła przed ukazaniem się w druku. Są tu również ciekawe wiadomości o sposobie pisania *Placówki*, o projekcie wyjazdu do Paryża w roku 1886 przed napisaniem *Lalki*. Interesujące są również stosunki literackie w Warszawie w tych czasach, których odbicie znajdujemy w listach w postaci walki Prusa z t. zw. kliką. Wiele również spostrzeżeń nasuwają listy, omawiające przystosowywanie się Prusa do cenzury rosyjskiej, a także walka pisarza z nieproszonymi poprawiaczami tekstów, przeinaczającymi niekiedy całkowicie zasadniczą myśl autora. Niektóre listy zawierają charakterystyczne ustępy, potwierdzające naszą wiedzę o Prusie jako człowieku. Ogólny ton całej korespondencji — to poczucie mocnego tętna twórczego, chęć walki o ideały ucziwej publicystyki przy jednoczesnym wstręcie do artykułów t. zw. krytycznych i kronik, oraz wiara we własne siły i radość tworzenia. Listy te niewątpliwie odzwierciedlają okres wzmogłej świadomości twórczej Prusa jako powieściopisarza, oraz pewną postawę bojową — w sensie publicystycznym. Jeżeli się uwzględni kierunek polityczny, któremu hołdował *Kraj*, zbliżenie i współpraca Prusa z redaktorem Piltzem — jeszcze raz potwierdza to obecna korespondencja — musiały się

opierać na popieraniu przez Prusa linii postępowania redakcji *Kraju* (choć nie zawsze), jak wiadomo — organicznikowsko-ugodowej. Będzie to miało swoje koekwencje jeszcze w roku 1897, pomimo wpływów Zeromskiego na Prusa, przy okazji sprawy pomnika Mickiewicza w Warszawie (list Zeromskiego do żony, 7. VI. 1897 r. *Ruch Literacki*, 1935: „Wyrzwał (Prus) dziś kronikę przeciwko pomnikowi Mickiewicza. Kieruje się na drugiego Straszewicza, bo już zaczyna odkrywać karty w kwestji komitetu przyjęcia cesarza”). Nie była to jednak zależność od kierunku ugodowego, raczej holdowanie własnej filozofji uutilitarysycznej. Wiąże się to z ogłoszeniem przez Prusa w *Kraju* znanego studjum o *Farysie*, zatem nie ze względami politycznymi. Korespondencyjne stosunki z E. Piltzem w następnych latach będą już coraz rzadsze, jak o tem świadczą zachowane listy (zaledwie 5) z lat 1891 do 1902. Dla lepszego wnikięcia w omawianą korespondencję pozwolę sobie przypomnieć, że rok 1884 zastaje Prusa po wydaniu *Grzechów dzieciństwa* i wielu innych szkiców i obrazków, które wreszcie w roku 1886 zostaną wydane w 4-ch tomach, że rok 1884 jest datą ukończenia *Omyłki*, że w roku 1886 (grudzień) po śmierci redaktora *Kurjera Warszawskiego* — Wacława Szymanowskiego — coraz bardziej psują się stosunki Prusa z tem piśmie, kończące się wreszcie przejściem jego razem z Gebethnerem i Wolffem do *Kurjera Codziennego* w kwietniu 1887 r. W czasie tedy omawianej korespondencji z E. Piltzem Prus, jako publicysta, pracuje jednocześnie w *Kurjerze Warszawskim* i *Kraju*, a potem w *Kurjerze Codziennym* i *Kraju*. A wszystko to było już po doświadczeniach w redagowaniu *Nowin* w 1883 r., ważkich i bogatych dla Prusa, jako działacza społecznego. Pomiędzy *Omyłką*, ukończoną w 1884 r., a *Lalką*, rozpoczętą na jesieni 1887 r., mamy *Slawę*, przyczem prawdopodobnie na koniec 1886 r. przypada pomysł i projekt zarówno *Lalki* jak i *Emancypantek*, pomimo, iż w październiku 1886 r. *Slawa* jeszcze nie skończona. Czytając korespondencję Prusa z redaktorem *Kraju*, jesteśmy tedy w wyjątkowo bujnym okresie jego twórczości. Rozważmy teraz zawartość listów według poszczególnych lat pod kątem nowości, jakie przynoszą dla badań nad Prusem.

ROK 1884: 8 LISTÓW. Prus pisze o pierwotnym tytule *Omyłki* — *Spieg*, potem — *Vox populi*, dopiero 1 listopada 1884 r. ustala ostatecznie tytuł *Omyłki* (list 8-my), po dokonaniu zmian, koniecznych ze względu na cenzurę (list 7-my). W lutym 1884 r. donosi o wykończeniu pierwszej połowy, w sierpniu tegoż roku zapowiada koniec *Omyłki*, pisząc z Nałęczowa. Listy z tego roku wykazują zainteresowanie Prusa twórczością A. Dygasińskiego, dalszy niechętny, „uprzędony” stosunek do A. Świętochowskiego, narzekania na korektę artykułów o *Ogniem i mieczem* (lipiec), niechętny stosunek do krytyków warszawskich, obawę czy potrafi ominąć rąfę cenzury (list 4-y i 7-my), wstręt do pracy zarobkowej („parobczej”, list 6-ty i 7-my), krytyczno-literackiej i „ciągle kłopoty finansowe. Jednocześnie z drukiem *Omyłki* w *Kraju* zamierza Prus drukować ten utwór w *Czasie* i *Gazecie Lwowskiej* (list 7-y).

Pogląd Prusa na pracę krytyczno-literacką i twórczo-literacką znajduje swoje mocne odbicie w liście 6-ym: „Zamiar wprowadzenia krytyki (w *Kraju*, przyp. mój) jest wyborny, ale... ja już tego działu nie chcę „uświecić”. Piękna to rzecz krytykować, ale pięknieją robić samemu. Ja zaś chciałbym zostawić coś po sobie; a że już zaczynam orjentować się w helletryście, więc zamiast krytyki wolę napisać kilka powieści z wielkich pytań naszej epoki. Plan ten pospółu z robotą parobczą wypelni mi zapewne resztę życia”.

ROK 1885: 8 LISTÓW. Ważne stwierdzenie, iż *Placówkę* pisze z tygodnia na tydzień: „...pół tygodnia zajmuję mi „Kronika” a pół tygodnia powieść do *Wędrowca* (list 10-y)”. Nie znaczy to oczywiście, by pomysł i plan *Placówki*, jako całości, nie był uprzednio przez pisarza przygotowany i opracowany; wiemy przecież, że analogiczna sytuacja była i z innymi powieściami, a przedewszystkiem z *Lalką*. Z redakcją *Kur. Warszau.* są w tym roku złe stosunki (list 10-y): „Moje stosunki z *Kurjer. Warsz.* są już jakby zerwane z powodu ciągłego zatrzymywania mi kronik, dopisków” i t. d. Dlatego żąda Prus od *Kraju* stałego honorarium, które otrzymuje (jak można sądzić z dopieku redaktora) w kwocie 120 rubli miesięcznie za korespondencję co tydzień. W tymże liście donosi o swej chorobie „mocno obezwładniającej” (agorafobia? — przyp. mój) i zaabsorbowania powieścią (*Placówka*) dla *Wędrowca*. A z powodu druku *Omyłki* w *Kraju* (list z lutego 1885 r.): „Nie donoszę mi Pan, ilu straciłście prenumeratorów przez moją powieść; tu bowiem kilku „poważnych patriotów” uznali mnie za zdracę. Jeżeli i w tamtych stronach rodzą się tacy, to musielicie odbierać piękne listy”. Potwierdza te inwektywy na Prusa L. Włodek w swem studjum na str. 47. Sprawa tedy *Omyłki* ma swą długą i ciężką historję, czego dowodem będą jeszcze listy 14 i 25 (listopad 1885 r. i luty 1887 r.). W liście 13 z 24 listopada 1885 r. prosi Prus o pozwolenie jednoczesnego druku *Omyłki* w *Gazecie Lwowskiej*, a także powiadamia, iż pobó odpowiednio zmiany redakcyjne powieści, przewidując z powodu cenzury konieczne „linje kropkek”. Na druku w *Gazecie Lwowskiej* bardzo mu zależy, bo tam będzie bez wykreśleń. W lipcu 1885 r. (list 12 z Warszawy) proponuje *Krajowi* nową powieść: „Jeżeli na Nowy Rok chcesz mieć powieść od 4000 — 6000 wierszy, przyslijcie mi zgóry 300 rubli przed 15 lipca... Robię propozycję, bo w tych dniach muszę z kim zrobić umowę i zebrać pieniądze na wyjazd, a Wam chciałbym dać pierwszeństwo. Tytułu ani treści nie podaję”. Najprawdopodobniej mowa tu o *Slawie*, o której L. Włodek pisze (str. 47 — 8), że *Kur. Warsz.* zapowiedział jej druk pod koniec 1885 r. Z tego wynikałoby, że pomysł *Slawy* powstał najpóźniej w lipcu 1885 r., a początek pisania tej powieści przypada najpóźniej na koniec 1885 r. Wiadomo, że w rezultacie *Slawa* pozostała w rękopisie, jako powieść niedokończona. Ostatecznie więc *Slawa* została pomyślana i częściowo napisana przed *Lalką*, aczkolwiek miała być wykończona po *Lalce* (L. Włodek str. 48), nie była jednak drukowana ani w *Kurjerze Warszawskim* ani w *Kraju*. Wiadomość L. Włodka o pomysle *Slawy*, przypadającym na koniec roku 1885, jest więc nieścisła, jak należy sądzić z cytowanego wyżej listu 12 (1 lipiec 1885 r.).

ROK 1886: 8 LISTÓW. Rok ten jest datą ukończenia *Placówki* (w *Wędrowcu*), „która rozrosła mi się ponad miarę” (list 17, 8 luty 1886 r.). W lutym tegoż roku donosi Prus Piltzowi, iż ma w tej chwili „na warsztacie drugą połowę *Slawy* dla *Kurjera Warszawskiego*, która miała być w N-rze noworocznym, a rozrosła się do 3000 lub 4000 wierszy!!!” i dalej powiadamienie w tym samym liście: „Naodwrot — po ukończeniu tych robót, z którymi już dojeżdżam do końca, zaczęć pisać dla *Wae*”. Z powyższych informacji wynika, że Prus początkowo chciał dać *Slawę* do druku *Krajowi*, potem obiecał ją *Kur. Warsz.* na Nowy Rok 1886, ale ostatecznie, gdy rozrastała mu się i gdy doszedł do przekonania, iż winien w związku z nią przeprowadzić studja w Paryżu i popracować w laboratorjach, odłożył ją *ad calendas graecas*, zasadniczo nie rezygnując z jej wykończenia; list zaś, dementujący zapowiedź druku przez *Kurjer Warsz.* („Sami sobie powieść napiszą”), należałoby uważać za wyraz zdenerwowania, spowodowanego przedwczesnem odsłonięciem rzeczy nietylko jeszcze niegotowej, lecz rozrastającej się i wymagającej nakładów pieniężnych. O tem, że Prus przemyślał o wyjeździe w tym roku do Paryża świadczy notatka w książce L. Włodka (str. 48): „zaciągnąłem prywatną pożyczkę na wyjazd do Paryża, który mi się nie udał... i prosiłem prof. Milicera, ażeby pozwolił mi przez jakiś czas pracować w ewojem laboratorium”. Podobną wiadomość znajdujemy w liście 19 z dnia 28 lipca 1886 r.: „O mało nie wyjechałem do Paryża, namawiany przez Abrahamowicza. Za mało jednak miałem sił na tę wycieczkę”. Jak wiadomo, wyjazd Prusa zagranicę, m. in. do Paryża, nastąpił dopiero w maju 1895 r., a więc już dawno po napisaniu i wydaniu *Lalki*, a bezpośrednio przed drukiem (jesienią) *Faraona*. W liście 24 z 26. X. 1886 r. jeszcze raz wspomina Prus o *Slawie*, odpowiadając na żądania Piltza: „Jestem tak zaabsorbowany nową powieścią, którą od Nowego Roku piszę dla *Kurjera*, że do tej pory nie odpowiedziałem na list Pański... „W tej chwili o *Potopie* ani o żadnej innej robocie

mysleć nie mogę, gdy bowiem skończę swą nieszczęśliwą *Slawę* wezmę się zaraz do innej powieści, a potem do jeszcze innej i tak wciaż". A więc jeszcze w październiku 1886 r. pracuje pisarz nad *Slawą*, mając przypuszczalnie już pomysły i plany do *Lalki* a może i do *Emanypantek*. Listy 21 z 14. IX. 1886 r. i 22 z 1. X. tegoż roku zawierają interesujące uwagi Prusa na temat stosunków prasowych w Warszawie, a także i w redakcji *Kraju* (w związku z pokierowaniem z różnych względów korespondencji Prusa p. t. *Albert*): „Zródłem... upadku prasy warszawskiej jest fakt, że redakcyje, zamiast przyjmować lub odrzucać artykuły, bawią się w ich poprawianie. Proceder ten nietylko zabija wszelką samodzielność, ale jeszcze mąci w głowach i psuje smak publiczny". Z tych względów zapowiada Prus, iż nie będzie dostarczał *Krajowi* artykułów ani feljtonów, bowiem *Kraj* swoim stanowiskiem do *Alberta* „otworzył znowu furtkę *Kurjerowi* do przypisków i melioracyj... dziękuję za podobną zabawę".

ROK 1887: 3 LISTY. List 25 z 8-go lutego stwierdza, że *Omyłka* jeszcze nie została wydrukowana w całości, sprawa więc ciągnie się od końca 1884 r. „Co do *Omyłki* — a drukują ją Pan jak najprędzej". „Czy nie masz Pan pod ręką odbitki z *Kurjera Lwowskiego*? Gdyby *Kass*(owski) zobaczył rzecz w druku, mniejby go przestraszała". Licze-

nie się więc z cenzurą ze strony redakcyi *Kraju* przekraczało, zdaje się, cierpliwość Prusa. Na stosunki warszawskie żali się Prus smutno: „Wyglądamy jak robaki w ezerze szwajcarskim, n. b. robaki chude, które swoją drogą straciły węż. Gnijemy w oczach, ale tych roślin, które mają zejść na naszym nawozie, jeszcze nie widać".

Tym melancholijnym akordem kończy się właściwa treść listów Prusa do E. Piltza, bowiem w r. 1888 nie ma już żadnych listów, a w 1889 jeszcze trzy, które świadczą o poszukiwaniu przez Prusa zasad nowego programu społecznego w haśle „przez lud do narodu" (list 28), a list 30 uwewnętrznia pewne otrzeźwienie Prusa co do wystąpienia politycznych grupy ugodowców petersburskich, otrzeźwienie zresztą pełne pobłażliwości i wyrozumiałości dla redaktora *Kraju*: „...z góry rozgrzeszałem Pana za treść (toastu), choć wyznaję, że owe „w imieniu 12-tu milionów" wydało mi się dziwnie nieścieśle. Cieszę się, że tego nie było" i t. d.

Wszystkie listy przepisano wiernie z zachowaniem ortografii i przestankowania Prusa, opuszczając tylko ustępy, zawierające treść wyłącznie prywatną, osobistą, bez znaczenia dla badań naukowych.

Tekst listów ukaże się w następnych numerach *Pionu*.

FELEKS ARASZKIEWICZ

Lublin.

PRÓBY PODTRZYMANIA DAWNEJ KULTURY LUDOWEJ

II*

Gdy tradycyjna kultura ludowa pod wpływem nowych warunków gospodarczych, uwolnienia chłopów z poddaństwa, powstania przemysłu fabrycznego, emigracji do miast, a także pod wpływem wzrastającej oświaty zaczynała coraz to wyraźniej ustępować przed nowymi formami kulturalnymi, idącymi coraz to silniej w miast, ideologowie ludowi zaczęli propagować dawną kulturę wśród ludu. Nie chodziło tu już o wskazywanie inteligencji, politycznie czy artystycznie zainteresowanej, wartości kultury ludowej; kultura ta zaczynała szybko ginąć, należało więc usilnie starać się o to, aby ją uratować. Program działalności polegał tu na tem, aby pouczyć lud o wartości dawnych tradycji, które wieś zaczynała w szybkim tempie zatracać, i skłaniać włościan do utrzymywania dawnych zwyczajów. W czasie, gdy cały szereg czynników coraz to silniej oddziaływała na rozkład dawnych form kulturalnych, niedostosowanych do nowych, szybko się zmieniających warunków życia, grupa ideologów płynnie przeciw prądowi, głoszącą nawrót do tradycyjnej kultury, która została przez nową wieś uznana za ciasną, niewystarczającą, zbyt prostą, aby mogła zadość uczynić wzrastającym szybko potrzebom kulturalnym.

Zobaczmy zatem, jakie są wyniki tej akcji.

Jednym z objawów, może najbardziej charakterystycznym, tej powrotnej ludowości, kierowanej zresztą najczęściej z góry, może być renesans stroju ludowego, a raczej tylko niektórych typów tradycyjnego ubioru. Ideologia ludowa, czy też może raczej poprostu etnograficzna, z naciskiem podnosi wartości, społeczną i estetyczną, dawnego stroju, a więc tu i ówdzie zaczyna się akcja zmierzająca do ożywienia dawnego zwyczaju w tym zakresie. Tu i ówdzie wyciągnięto więc ze starych skrzyń dawne, już nieużywane stroje i zaczęto je znów dość demonstracyjnie wkładać, oczywiście już nie do codziennej pracy, ale na pokaz, na niedzielę, do kościoła, na wystąpienia zbiorowe; zdarzało się nie raz, że do miasta jechał w pięknym stroju ludowym reprezentant ludności, która już zapomniała o tem, jak się ojcowie czy dziadowie ubierali.

Tam, gdzie tradycja dawnego stroju już zginęła, lub też w tych okolicach, gdzie ów dawny ubiór wydawał się mało reprezentacyjny, radzono sobie w prosty sposób: wkładano stroje niewątpliwie ludowe, ale z innych okolic, gdzie strój był bogatszy, barwniejszy, bardziej rzucający się w oko. Rzecz to zupełnie zrozumiała; jeśli chłop chce publicznie stwierdzić, że jest chłopem, przywiązany do tradycji ludowej i dawnym z przynależności do stanu włościańskiego, to oczywiście nie będzie tego demonstrował w lichej płótniance czy szarym samodziale welnianym, ale w stroju barwnym, zamownym, ozdobnym. Ze przy tej sposobności lekceważono tradycję miejscową, że sztucznie wprowadzano stroje, nigdy dawniej w tej okolicy nie noszone, to tem już nikt się nie przejmował (chyba etnografowie).

Strojem takim, który miał najwięcej szans jako uroczysty, reprezentacyjny ubiór ludowy, był strój włościan z okolic Krakowa; wspomnienia historyczne związane z Krakowem dodawały uroku Krakowiakom, a pod koniec osiemnastego wieku udział chłopów z pod Krakowa w powstaniu Kościuszkowskim wysuwał ich na czoło włościan polskich jako najbardziej patriotycznych. Fakt, że Kościuszkowski, podkreślając znaczenie elementu włościańskiego, demonstracyjnie wkładał białą krakowską sukmanę, jest niejako podniesieniem tego ubioru do godności symbolu narodowego i demokratycznego. Nie dziw więc, że naśladować tak dostojny przykład, zaczęto krakowski strój ludowy uważać za ludowy *par excellence* i nosić go, oczywiście już tylko jako ubiór reprezentacyjny, nawet i tam, gdzie nigdy wpływy krakowskie nie sięgały. Dwory zaczynają szeregować ten ubiór, zazwyczaj jeszcze podnosząc jego dekoratywność, ubierając weń dworskiego woźnicę, która to moda utrzymała się przez cały XIX-ty wiek i dotrwała jeszcze tu i ówdzie do naszych czasów. Tam, gdzie powstaje jakaś organizacja włościańska, która pragnie zmanifestować swą odrębność zewnętrznymi oznakami, łatwo powstaje pomysł włożenia strojów ludowych i oczywiście krakowskich. Tam, gdzie lud zaczyna odczuwać potrzebę większej wyjątkowości zewnętrznej, zwłaszcza przy procesjach i weselach, tam również zjawiać się może strój krakowski, choćby tradycyjnie zupełnie obcy; wytwarza się nowa, ogólna, ponadregionalna ideologia ludowa, która uznać może strój krakowski jako reprezentacyjny ubiór ludowy. Tak np. w Maszkienicach, w powiecie brzeskim, tak szczególnie opisanych przez Bujaka, dawny strój ludowy z początkiem XX wieku zupełnie już zaginął; zaczął się natomiast upowszechniać zwyczaj występowania drużbów na zamkniętych weselach w krakowskich strojach. Otóż takich przykładów można przytoczyć sporo. Dodać można, że widowiska teatralne, na których nieraz wystawia się sceny ludowe i to wówczas prawie zawsze na tle podkrakowskim, a zarazem także i zwyczaj taneczny, który upowszechnia krakowiaka i „krakowskie wesele", tańczone nieraz w krakowskich kostiumach, wpływają na ustalenie się tej mody; jeżeli też gdzieś urządzi się zabawę kostjumową, to niemal zawsze pojawią się tam kilka strojów krakowskich. W każdym razie w rekwizytorni kostjumów czy to teatralnych, czy karawalowych, strój krakowski jest dobrze znany.

W drugiej połowie XIX wieku wchodzi w modę w dawnej Galicji „bänderje krakowskie"; być może, że oddziaływały tu tradycje lekkokonných pułków „Krakusów" w armii Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Jeźdźcy w krakowskich strojach towarzyszą uroczystym pochodom, najczęściej z okazji witania biskupa przez parafje, czasem także przy oficjalnych przyjęciach dygnitarzy, jak choćby z okazji wizyt członków domu panującego w Krakowie, na które to uroczystości zarząd miejski organizował takie właśnie bänderje, mające dać barwny wyraz uczuciom lojalności

mieszkańców okolic Krakowa. Z Krakowa przeniosły się te bänderje do innych miast i miasteczek; nawet tam, gdzie nigdy przedtem krakowskiego stroju nie widziano, przebierano walecznych jeźdźców z uroczystej bänderji w krakowskie sukmany i wkładano im czerwone rogatywki. Ba, kilka lat temu z okazji ślubu córki sławnego rabina w Bóhowej na Podkarpaciu, na który zjechały się tłumy żydowskie z dalekich nawet okolic, wystąpiła bänderja, złożona z miejscowych Żydów, przebrana po krakowsku.

Krakowski strój stał się też niejako symbolem polskości zagranicą. Gdy słyszemy o jakimś balu kolonji polskiej gdzieś zagranicą, to zazwyczaj dowiadujemy się o tancerzach w strojach ludowych, których przyjmowano z aplauzem; otóż stroje te prawie zawsze są, czy też raczej mają być, krakowskie. W takich też strojach występują grupy emigrantów na uroczystościach narodowych; włościanie z Pomorza czy z pod Wilna, którzy nigdy Krakowa nie widzieli, robotnicy z Łodzi czy Warszawy, demonstrują swą polskość wkładając strój krakowski; po krakowsku są też przebrani dzieci emigrantów, które często nie umieją już poprawnie mówić po polsku. Jest coś zabawnego i rozrzucającego zarazem w tej maskaradzie, która jest zapewne dla niedjednego z jej uczestników głębokim przeżyciem.

W ostatnim ćwierćwieczu podobną ewolucję, chociaż w mniejszej skali, przechodzi także strój Księżaków łowickich, który również zaczyna być modny poza granicami księstwa łowickiego. Jest to zjawisko nowe, nie dawniejsze chyba niż kilka czy najwyżej kilkanaście lat przed wojną. Dawne samodziały łowickie zaczynają być coraz to barwniejsze, „pasiaki", tak charakterystyczne dla tych stron, zaczynają składać się z pasów barwnych coraz to szerszych, kolory stają się coraz to jaskrawsze, zwłaszcza, że dawne farbowanie roślinne ustępuje miejsca barwieniu zapomocą farb anilinowych. W okresie, gdy zaczęto głosić potrzebę zbliżenia się do ludu i gdy znów tematy ludowe zaczęły być modne, zjawia się potrzeba uznania któregoś z tradycyjnych strojów wiejskich za typowy, najbardziej charakterystyczny; otóż niewątpliwie najbarwniejszym strojem dawnej Kongresówki, który mógł liczyć na popularność, był właśnie strój księżacki. Gdy raz uznano, że jest to strój najbardziej reprezentatywny, to oczywiście najpierw okolice najbliższe Księżaków zaczęły przyjmować ten strój sąsiedzki (co np. wyraźnie widać w pobliżu Skierzwic), a potem także i dalsze, co działo się tem łatwiej, że w południowo-zachodnich tych stronach Kongresówki, zwłaszcza zaś w zagłębiu przemysłem tradycja własnego stroju dawno już zaginęła. Zaczęto więc wkładać barwne pasiaki na tych terytorjach, na których ich przedtem nie było: na uroczystościach ludowych coraz to częściej występowały grupy wiejskie z różnych okolic w strojach, zbliżonych do łowickich; ubiór ten wszedł także częściowo w modę wśród inteligencji miejskiej w postaci barwnych pelerynek samodziałowych, a wreszcie uzyskał także i dostęp do haletu, co było już niejako oficjalnym uznaniem jego kariery jako reprezentatywnego stroju narodowego. Ostatecznie dzisiaj, jeżeli plątałyśmy mamy przedstawić lud, to wyobrażamy go albo w krakowskim, albo łowickim stroju.

Inaczej przedstawiają się losy stroju góralskiego, który również był podtrzymywany, a nawet częściowo i szerzony przez regionalną ideologię. Strój ten nigdy nie był uważany za ogólnonarodowy w tym sensie, jak krakowski czy łowicki, wiedziano bowiem zawsze, że jest to strój ludności górskiej; ale właśnie na tym terenie strój ten w ostatnich czasach zyskał nowych zwolenników. Strój, który zwykliśmy nazywać góralskim, a więc białe „cyfrowane" spodnie i cucha, wraz z czarnym okrągłym kapeluszem jest właściwą tylko niewielkiej grupie góralskiej na Podhalu; już w Gorcach czy w Beskidzie Zachodnim górale ubierają się inaczej. Otóż ta właśnie grupa Podhalańska została uznana za typową dla całej góralszczyzny, chociaż nie jest ani najliczniejsza, ani najbardziej malownicza; wysunęła się ona na pierwsze miejsce poprostu przez fakt, że coraz to gęściej przybywający na Podhale, zwłaszcza do Zakopanego, letnicy z miast właściwie tylko tych właśnie górali znali. Zresztą ci Podhalanie mieli najwięcej ambicji kulturalnych i przywiązania do swych odrębności regionalnych, zachowywali przytem dużą godność w stosunku do przybywców z miast, którzy przyzwyczajeni do uległości i pokory ludności wiejskiej patrzyli z uznaniem na swobodnych gazdów. Wytworzyła się więc opinia o wyższości typu podhalańskiego, która w rezultacie doprowadziła do regionalnego ruchu podhalańskiego, obejmującego coraz to szersze terytorium, wykraczające znacznie poza obręb właściwego Podhala. Orkan, sam góral z ubogich Gorców, śmiał się z tych ambicji zahorczych, twierdząc żartobliwie, że wystarczy wysłać kilka wozów z transportem góralskich „bukowych portek" z cyframi, aby

pozyskać dla ideologii podhalańskiej całą ludność aż po Kraków.

Dodać można, że strój podhalański, zresztą już bardzo zuniformizowany, stał się reprezentacyjnym ubiorem emigrantów z terenu górskiego, zamieszkałych w Ameryce. Górale ci, z których niektórzy dochodzą do majątków i sytuacji burżuazyjnych, trzymają się razem i prowadzą życie związkowe, na uroczystości chętnie przywdziewają strój góralski, a raczej zakopiański: „bukowe portki" z bogatą cyfrą i białą cuchę z obszywaniami. W sprawozdaniach związkowych widzimy liczne fotografie zażywnych panów o dość amerykańskim wyglądem, noszących nieporadnie strój, którego wielu z nich nigdy w kraju nie nosiło; zabawną jest rzeczą widzieć, jak ogłoszenia firmowe kupców, zakładów pogrzebowych, groceni i restauracji, podają fotografie ich właścicieli w cyfrowanych białych spodniach i okrągłych kapeluszach zakopiańskich.

W zupełnie inny sposób ukształtowały się usiłowania, zmierzające do ożywienia sztuki ludowej i inne też były ich rezultaty. Wiadomo, że zainteresowanie dla sztuki ludowej zjawia się dość późno, właściwie chyba dopiero pod koniec ubiegłego wieku i to tylko w stosunku do niektórych, bardziej odrębnych regionów, przedewszystkiem góralszczyzny. Duch epoki sprzyja prymitywowi; zmęczenie wyrafinowaniemi formami twórczości plastycznej prowadzi łatwo do zwrotu ku prymitywowi, zarówno w przeszłości, jak też i w sztuce ludu czy też nawet w twórczości egzotycznej. Należy podkreślić wyraźnie fakt, rzucający jaskrawo światło na genezę tego prymitywizmu: ludzie zmęczeni, którzy już dużo wiedzili i przeżyli, zaczynają lubować się w prymitywie ludowym, który mogą interpretować dowolnie. Poza tem jeszcze względy ideologiczne, demokratyczne i narodowe wpływają na wartościowanie sztuki ludowej, nie dziw więc, że staje się ona popularnym hasłem w ostatnich latach przedwojennych.

O ile jednak t. zw. sztuka ludowa staje się popularna w kołach artystycznie wykształconej czy ideologicznie zorientowanej inteligencji, o tyle wśród ludu traci grunt

Z „ALBUMU INFLANCKIEGO"



Kościół w Krasławiu



Dwór w Preznie



Kościół w Dynenburgu

* Por. *Pion*, nr. 15 (132).

coraz to bardziej. Rzecz to prosta; tutaj te siły, które wśród inteligencji przyczyniają się do szerzenia tematów ludowych, działają w kierunku wręcz odwrotnym. Lud, podnosząc się na wyższy stopień wykształcenia i na wyższy poziom życiowy, zaczyna odczuwać dotychczasową twórczość artystyczną jako zbyt prymitywną, od której się odwraca, szukając nowych wzorów w mieście; nowa ideologia polityczna, również demokratyczna i narodowa działa tu w kierunku zarzucania tego, co jest dawną tradycją wsi, a przyjmowania wartości, wspólnych całemu narodowi. Ostatecznie, mamy do czynienia z osobliwą sytuacją: inteligencja propaguje sztukę ludową, a lud sztukę tę lekceważy, starając się zbliżyć do sztuki „inteligentkiej”. Nie można się więc dziwić, że rozmaite próby ożywiania i szerzenia sztuki ludowej na wsi natrafiały na zasadnicze przeszkody i doprowadzały najczęściej do rezultatów, bynajmniej przez inicjatorów tej akcji nie zamierzonych.

Sytuacja stała się istotnie paradoksalna; apostołowie sztuki ludowej pragnęli zachować ją, jako samorodną twórczość ludu, nieskażoną obcymi wpływami, mającą zadowalać artystyczne potrzeby ludu, gdy tymczasem twórczość ta została zeschematyzowana, skomercjalizowana, i służy inteligencji miejskiej, nabywającej okazy sztuki ludowej, która jest coraz to mniej ludowa i coraz to mniej sztuką. Od czasu, gdy zaczęły powstawać „bazyry ludowe” w większych miastach, zajmujące się sprzedażą tych — ludowych wyrobów, wytwórczość ludowa zaczęła pracować dla tego właśnie rynku, dostosowała się do pojęć i potrzeb klientów. Zatraciła dawną bezinteresowność i swobodę wysiłku twórczego.

Weźmy jako przykład sztukę ludową Podhala; najciekawszy to może przykład, gdyż sztuka ta wpłynęła wcale poważnie na rozwój zdobnictwa artystycznego w Polsce i stała się wzorem, który niejednokrotnie naśladowano także w innych regionach.

Tradycyjna sztuka Podhala ma niewątpliwie bardzo poważne wartości artystyczne. Jest to sztuka ludu, który przez wieki nie ulegał poważniejszym wpływom miej-

skim, a zarazem miał więcej czasu i wolności, aniżeli ludność „dólska”, w dolinach zamieszkała. Krzyżowały się tu różne wpływy, idące z północy, z południa od Węgier, częściowo z zachodu; bardzo poważnie zaważył na rozwoju kultury góralskiej, także i w zakresie artystycznym, wpływ wschodni, idący wzdłuż Karpat z Rumunii, a pośrednio z Bałkanów. Rozwinęła się tu więc ciekawa twórczość, zarówno w zakresie budownictwa, jak i zdobnictwa drzewnego, gdyż te działy były tu najbardziej uprawiane i najlepiej rozwinięte. Chata góralska, zarówno pod względem architektonicznym, jak też co do urządzenia wnętrza, przedstawia się jako oryginalna, eharmonizowana całość, owoc wielkiego wysiłku artystycznego, dająca pełne zadowolenie estetyczne. „Goście”, przyjeżdżający z różnych stron do Zakopanego, o ile umieli patrzeć i nie mieli myślenia zafalszowanego przez jakieś teoryjki czy erudycje, byli zdumieni tem szczerem pięknem dawnej kultury góralskiej. „Myśmy znaleźli górala w pysznej, ozdobnej chacie — pisze artysta tej miary, co Stanisław Witkiewicz — otoczonego artystem, który przezierał z każdego sprzętu, każdego szczegółu pospolitego użytku. Jego chałupa była skarbnicą kultury dawnej, przechowanej przez ten lud...” Matlakowski, wzięty niegdyś w Warszawie lekarz, który ostatnie lata życia spędził w Zakopanem, i tu też kapitalne dzieła ułożył o *Budownictwie ludowym na Podhalu* tudzież o *Zdobieniu i sprzęcie ludu polskiego na Podhalu* pisze o sztuce tej z pełnym entuzjazmem: „Jestto zjawisko prawdziwie wyjątkowe... Nie jestto jakiś pojedynczy okaz, jakiś wyrzeczony sprzęt, zdobna lalka, udatna figurka świętego, malownicza szafa, co zdarza się w dziedzi w odosobnieniu i w innych okolicach — tu sztuka jest zjawiskiem powszechnym, które ogarnęło zarówno dom, jak i meble, sprzęty, narzędzia, odzież, przyoblekając je w oryginalną formę, kolor lub zdobienie; nawet najwzyczajniejsze przedmioty użytku, nieróżniące się od powszechnie znanych, np. plugi, sanie itd. zwracają uwagę na się wybitną zgrabnością, starannem wykończeniem w szczegółach... Symetria, współodpowiedzialność części, rozkład szczegółów, bywają zadziwiająco przestrzegane i przeprowadzone w całości budynku, czy sprzętu, bez zarzutu...”

Otóż na tem, tak bogatym w swym prymitywnym podłożu powstałym przemysł artystyczny, mający służyć t. zw. „gościom”, coraz to liczniej zjeżdżającym do Zakopanego. Rozmaite koleje przechodził ten przemysł, naogół mało oryginalny i artystycznie nieciekawy, zapatrzony we wzory obce czeskich i austriackich uzdrowisk, skąd tyle przywożono rozmaitych pamiątek, przeważnie bezwartościowych drobiazgów z napisem, przypominającym daną miejscowość. Zaczęto więc wyrabiać masowo „pamiątki z Zakopanego”, najczęściej z figurką górala, okrągłym kapeluszem góralskim, parzenicą czy szarotką. Szkoła przemysłu drzewnego, założona przez władze w Zakopanem, prowadzona pod kierownictwem Czechów czy Austriaków, zrutyzowanych propagatorów jakiejś austriacko-szwajcarskiej tandety, przyczyniła się znacznie do propagandy tej masowej wytwórczości, którą do dziś dnia widzimy za szybami zakopiańskich sklepów „z pamiątkami”. „O kryminal krzyżująca tyrolszczyzna”, pisał o niej Orkan. Szkoła ta także narzuciła zakopiańskim cieślom, co prawda tylko na pewien czas, alpejski styl w budownictwie drzewnym, którego okazy możemy jeszcze widzieć w Zakopanem, a które są powszechnym typem budownictwa w uzdrowiskach południowej strony Tatr. Dopiero wysiłek twórczy i propagandowy Stanisława Witkiewicza zdołał przezwyciężyć tę austriacką modę i doprowadzić do stworzenia „stylu podhalańskiego”, opartego o autentyczną sztukę góralską, a polegającego na zastosowaniu artystycznych walorów tej sztuki do budownictwa will, kościołów, nawet i domów murowanych, tudzież do sprzętarnstwa; sztuka góralska odżyła w nowej formie. Dależe losy „stylu podhalańskiego” są dość urozmaicone; w budownictwie zdołał się on utrzymać przez kilkadziesiąt lat, przechodząc z Zakopanego do innych uzdrowisk górskich, a potem ku dolinom, do letnisk pod Poznaniem czy Wilnem, natomiast w sprzętarnstwie moda podhalańska była dość krótka, choć i tak niejeden burżuazyjny pokój, zwłaszcza stołowy, do dziś dnia jeszcze jest urządzony w tym stylu. W każdym razie „styl podhalański” jest najciekawszym i najbardziej udanym przykładem zastosowania motywów ludowych w sztuce narodowej; pewnie, że nie spełnił on wszystkich nadziei, które z nim łączono, ale zawsze był wysiłkiem wartościowym i oryginalnym.

Ale nie chodzi nam tutaj o dzieje stylu podhalańskiego, lecz o rozwój sztuki ludowej Podhala. Otóż możnaby sądzić, że im więcej letników zjawiało się w Zakopanem i im większym powodzeniem cieszył się styl podhalański, tem gorzej się kształtowały warunki rozwoju sztuki ludowej.

Przedewszystkiem więc górale, którzy

dawniej sztukę tę tworzyli, o ile weszli w bliższy kontakt z letnikami i zaczęli dla nich pracować, nie mieli już czasu na spokojną, bezinteresowną pracę artystyczną, a potem często także nie mieli już zastosowania dla tej sztuki, czasem nawet poprostu i miejsca. Z powodów tych zdawał sobie dobrze sprawę tak precyzyjny obserwator, jakim był Witkiewicz. Góral „nie ma dziś czasu... Dawniej z musu góral był Feakiem, kochającym się „w gęśli granii, toż w płasach i odpoczywaniu”. Warunki klimatyczne i ubóstwo ziemi zmuszały go do bezczynności i wytwarzały z drugiej strony tę wszechumiejność, z jaką góral przeżywał dni wolne od orania, koszenia i kopania gruli. ...Dziś się zmieniło. Życie wzięło górali w swoje kluby, dając im możność pracy i zarobku”, ale nie zostawiło im czasu i spokoju, koniecznego dla samodzielnej twórczości. Czas zaczął być obliczany na pieniądź, a spokój znikł z najazdem coraz to liczniejszych gości.

Gdy zaczęto przeliczać wszystko na pieniądze, okazało się, że niema miejsca dla sztuki.

„Dobrobyt wzrasta — konstatuje Witkiewicz — a jednocześnie góral pod wielu względami żyje gorzej, biedniej i brzydziej. ...Dziesięcioletni góral, ten zakopiański żałośny gazda, który tak świetnie umie budować, który ma taki zmysł piękna, proporcji i konstrukcji, ten góral w swoim życiu cofnął się wstecz i żyje jak nędzarz w ciemności, ciemności, zaduchu i brudzie. Wszystko dla gości, dla zdobywców za ich pomocą bogactwa. Więc stare chaty poprzetrzebano na wygodniejsze mieszkania, stawiają się nowe, ozdobne i wygodne domy, a wszyscy górale przenieśli się do szop, pod wspólny dach z krowami, kołami i owcami i tam żyją jak nędzarze. Jestto zapewne chwila przejściowa, ale smutna. Nie potrzebując dla siebie ozdoby życia, góral ztracił czasem dziś jeszcze tak żywe poczucie artystyczne, które mu pozwoliło przechować pierwiastki ogół-

no-polskiej kultury w formach najbardziej wyrobionych i najbogatszych”. Słowa te pisał twórca stylu podhalańskiego w latach 1903 — 1905; od tego czasu dużo się zmieniło, przedewszystkiem zaś ci, którzy się „na gościach” dorobili, mieszczą już w willach, mają mieszkania po miejsku urządzone i tylko w niedzielę niektórzy z nich jeszcze promenują w góralskich strojach.

W podobny sposób przedstawiają się losy sztuki ludowej na innych terenach. Z chwilą, gdy sztuka danego regionu staje się modna i zyskuje odbiorców wśród inteligencji miejskiej, zaczyna się nieuchronnie jej komercjalizacja, eschematyzacja i ostatecznie upadek. Wieśniacy nie tworzą tutaj dla siebie, bezinteresownie, dla zadowolenia swych estetycznych potrzeb, lecz wytwarzają dla rynku, muszą się więc liczyć z wymaganiami klientów, najczęściej szukającej tanich efektów. W tym kierunku poszedł więc rozwój sztuki łowickiej, kurpiowskiej, kaszubskiej, huculskiej, wileńskiej; pasiaki łowickie czy kurpiowskie, kaszubska czy huculska ceramika, wileńskie „raduszki” są dziś towarem, znajdującym coraz to liczniejszych odbiorców w miastach, coraz to mniej pożądanym w tych właśnie okolicach z którymi są genetycznie związane. Akcja popierania przemysłu ludowego zdążyła do uruchomienia jaknajliczniejszych warsztatów, i szuka rynku zbytu dla tych wyrobów; włościanie, którzy niegdyś dla siebie zdobili chaty, wycinali ozdoby papierowe, tkali barwne samodziały czy kładli prymitywne ozdoby na glinianych wyrobach, zaczęli produkować dla miasta, stosować doskonałe procedury techniczne i kopować podane im wzory. Tu i ówdzie powstają kursy czy szkoły przemysłu artystycznego, mające działać w kierunku podniesienia poziomu tej twórczości, ale podnoszenie to, mogące mieć zresztą poważne znaczenie dla życia gospodarczego regionu niszczy dawną samodzielność artystycznej twórczości ludu.

JAN ST. BYSTRON

ZGON PRZYJACIELA POLSKI

Polska straciła wielkiego przyjaciela. Zmarł 30-go grudnia 1935 r. w Kispes pod Budapesztem ś.p. Jan Tomcsányi, serdeczny przyjaciel narodu polskiego i tłumacz utworów literatury polskiej na język węgierski.

Jan Tomcsányi urodził się 7 września 1873 r. w Piekieni na Orawie. Był nauczycielem w różnych miejscowościach, ale wkrótce, w uznaniu jego zasług na polu pedagogii, powołano go do Ministerstwa Oświecenia w Budapeszcie. W r. 1908 otrzymał tytuł inspektora szkolnego, a w r. 1909 został inspektorem szkolnym na komitat (żupanstwo) Bars z siedzibą w Aranyos Marót.

Tu zaczął on interesować się literaturą polską i językiem polskim. Zainteresowanie to zaczęło się u niego wtedy, kiedy, podczas jakiejś wycieczki w Tatry, doznał po stronie polskiej bardzo serdecznego przyjęcia i otrzymał od jednego nauczyciela gramatykę języka polskiego.

Od tego czasu zaczął tłumaczyć utwory z literatury polskiej. Zainteresowanie jego sprawami polskimi wzmogło się jeszcze dzięki temu, że podczas wojny stykał się z legionistami polskimi, leżącymi w szpitalu w Aranyos Marót. Wtedy właśnie przetłumaczył Sienkiewicza *Szkiec węglem*, Konopnickiej *Mój zegarek* i inne nowele.

Ponieważ po wojnie Cześci zajęli Górne Węgry i usunęli Tomcsányiego z jego stanowiska, musiał opuścić Aranyos Marót i przeniósł się do okrojonych Węgier, gdzie pewien czas był inspektorem szkolnym w Kecske-mét, skąd później dostał się do Budapesztu. Po przeniesieniu na emeryturę prawie cały wolny czas poświęcił literaturze polskiej i przetłumaczył Daniłowickiego *Pociąg*, *Rodziewiczówny: Czarny chleb* i *Kamerad Szol*, jak również powieści *Byli i będą*, dalej Reymonta: *Na pogrzebie*, *I wynieśli* i *Zabielem*, oraz piękny artykuł Kadana-Bandrowskiego *Węgry*. Oprócz tego przetłumaczył jeszcze dramat Goetla *Samuel Zborowski*, którego ostatni akt wystawiono w Teatrze Narodowym w Budapeszcie w r. 1933, podczas uroczystości ku czci Bato-rego.

Przełożył następnie *Rodziewiczówny Dewajtis*, Zeromskiego *Rodziewiczówny nas krutki*, *wrony* i *Szyfrowe prace*, Weyssenhoffa *Pod piorunami* i Ligockiego *Polonia mane*. Ale te tłumaczenia nie zostały jeszcze wydane.

Największą jednak pracą Tomcsányiego było przetłumaczenie *Chłopów* Reymonta na język węgierski. Przekład ten udał się nadzwyczajnie i poprostu rozchwytało księżkę, bo w przeciągu niecałego roku pierwsze wydanie zostało wyczerpane. Za tę pracę otrzymał on nagrodę polskiego *Pen-Klubu*.

Ale Tomcsányi zajmował się nie tylko literaturą polską, lecz interesował się nie-

mniej wszystkimi ważniejszymi kwestjami dotyczącymi Polaki, jak np. kwestją Wilna, t.zw. „korytarzem” pomorskim, sprawą Górnego Śląska i t. d., broniąc wszędzie na Węgrzech interesów polskich. Bardzo piękny był jego odczyt o roli kobiet polskich w ruchach niepodległościowych. Odczyt ten wygłoszony w Narodowym Związku Kobiet Węgierskich wywarł głębokie wrażenie na wszystkich słuchaczach.

Tomcsányi wszystkie swoje odczyty i artykuły o Polsce zebrał w jednym tomie, który w r. 1932 ukazał się pod tytułem *Lenygelorszag* (Polska).

Ale ten gorący patriota węgierski nie tylko piórem walczył o przyjaźń węgiersko-polską, lecz również swojemi czynami. Keiżki swoje polskie ofiarował uniwersytetowi budapeszteńskiemu, na cele lektoratu polskiego. Wielkie jego zasługi uhonorowano ze strony polskiej komandorją „Polonia Restituta”.

Oprócz tego charakteryzowała go niezwykła serdeczność dla wszystkich Polaków, którzy odwiedzili Węgry. Był on niezmiernym *cicerone* dla nich i robił wszystko, aby Polacy dobrze się czuli na Węgrzech. Tomcsányi miał jeszcze wielkie plany na przyszłość, pragnął jeszcze tłumaczyć wiele dzieł literatury polskiej, ale nieubłagana śmierć wytrąciła mu pióro z ręki. Zgon jego jest stratą niepowetowaną i dla Węgier i dla Polaki.

ADRIAN DIVEKY

ANNY RÖMEROWEJ



Kościół w Lucynie



Ruiny zamku w Lucynie



Kościół w Dągdzie

PRZEKŁADY

ARAGON: *Dzwony Bazylei*. Przekład Wacława Rogowicza. Warszawa 1936. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Ludwik Aragon jest jedną z najbardziej bujnych i niepokojących indywidualności wśród współczesnych pisarzy francuskich. Rozpoczyna swoją karierę literacką od dadaistycznego buntu przeciwko wszelkim odziedziczonym wartościom kulturalnym, od absolutnej, anarchizacyjnej negacji całej rzeczywistości powojennej, od jaknajpełniejszego przeciwstawienia się tradycji literackiej. W kilka lat później wraz z Tristanem Tzarą i Andrzejem Bretonem tworzy rdzeń najbardziej awangardowej ze wszystkich awangard europejskich, szkoły nadrealistów, która tak jak i dadaizm stawiała sobie cele wyraźnie poza-literackie — przemiany psychiki ludzkiej, równouprawnienia marzeń i snów z jawą, stanów świadomych z podświadomości, wprowadzenia najbardziej dzwacznej fantastyki w literaturę a pośrednio i w życie. Ale droga, którą nadrealizm zęglował od rewolucjonizmu artystycznego do politycznego, od anarchizmu do komunizmu, od idealizmu do prób, zresztą zupełnie beznadziejnych, pogodzenia freudyzmu z materializmem dziejowym dla Aragona była zbyt powolna.

Po krótkim pobycie w Z. S. S. R. obejmuje redakcję pisma *Commune*, zrywa z dawnymi kolegami, zmienia ideologię artystyczną, zaczyna głosić realizm socjalistyczny i w sposób brutalny i ostry zwalczać nadrealistów. Główny jednak jego dorobek pochodzi z okresu nadrealistycznego. Świetny prozaik, krytyk malarski i literacki, włączył się Aragon przedewszystkiem nowym rodzajem satyry politycznej i obyczajowej, łączącej gwałtowny i pełen pasji pamphlet z fantastyczną metaforą, z barokowym nieledwie, niezorganizowanym, ale porównującym stylem współczesnej awangardy.

Po swoim nawróceniu na ortodoksyjny marksizmowski wydal Aragon dotychczas jedynie tom wierszy *Hourra L'Oural* i świeżo przetłumaczoną na polski powieść *Dzwony Bazylei*. Wiersze, poświęcone budownictwu socjalistycznemu na Syberji, przepojone retoryką i patosem (u nas miejscami przypomina Aragona Łobodowski), bliższe są raczej współczesnej liryce sowieckiej niż francuskiej. Dużo bardziej interesujące są *Dzwony*.

Powieść Aragona początkowo zalewa nas i ogłusza, szereg luźno związanych wątków fabularnych rozrasta się od pierwszych już stron książki w żywiołowym tempie, ogarnia setki postaci i morze epizodów, z trudem dających się złączyć w jakąkolwiek całość. Przyczynia się do tego i nużąca jednoplanowość w traktowaniu poszczególnych fragmentów, zupełnie niezróżnicowanie olbrzymiego materiału tematycznego. Mamy chwilami wrażenie, że powieść zmienia się w jakieś poplątane dossier sądowe sprawy w rodzaju afery Stawieckiego z okresu przedwojennego. Tembardziej, że autor naogół konsekwentnie unika analizy psychologicznej, charakteryzuje niejako od zewnątrz, od strony jedynie czynów. Wyczuwa się nieprzerobioną artystycznie autentyczność postaci, ciężą fatalnie nad powieścią obfitość materiału faktycznego. W *Dzwonach Bazylei* niema prawie literatury i to jest ich największą wadą.

Ale o to zdaje się Aragonowi chodziło. Powieść ma wyraźne ambicje historyczne, obejmuje okres ostatniego dziesięciolecia przed wojną, aż do międzynarodowego Kongresu antywojennego w Bazylei w roku 1912. Z chaosu epizodów, z zarysowanych ledwie postaci wyłania się obraz społeczeństwa francuskiego, to jest ściśle biorąc, tak zwanych dawniej, „lepszych sfer“ i „ludzi“. Aragon przedstawia związki rządów i armii z finansjerką międzynarodową, narastanie powolne wewnętrznych walk klasowych i przygotowań wojennych. Zerwanie z metodą charakteryzowania środowiska przez bohaterów reprezentatywnych jest niewątpliwie sukcesem artystycznym autora. Pod względem politycznym *Dzwony Bazylei* wiążą się ściśle z powszechnym we Francji rewizjonizmem historycznym okresu Trzeciej Republiki. Ta blika przeszłość staje się na nowo aktualną i nawet książki o pretensjach ściśle naukowych nie rezygnują z przerabiania historii *ad usum delphini*.

Ale książka Aragona jest ponadto jeszcze osobistą rozprawą autora z anarchizmem. Fragmenty, poświęcone dochodzeniu do socjalizmu poprzez anarchizm, wyłamują się przez swą gorącą „wyznawczość“ z ogólnego tonu książki. W nich i w zakończeniu, omawiającym bazylejski kongres, dochodzi do głosu prawdziwy Aragon, namiętny i patetyczny, gwałtowny i wrzeszczący.

Język Aragona nie należy do łatwych; nie liczący się zbyt z klasyczną ekładnią francuską, bogaty i często rozwichrzony, sprawia tłumaczowi duże trudności. Od p. Rogowicza, który tak świetnie uporał się

z niemniej przecież trudnym Célinem, mamy prawo wymagać więcej niż poprawności. A tym razem przekład pozostawia dużo do życzenia.

JAN KOTT

PODRÓŻE I PRZYGODY

MICHAŁ TARNOWSKI: *Cejlon wyspa rajska*. Lwów — Warszawa 1936. Książnica-Atlas.

Odhychając niegdyś wielką podróż prawie naokoło świata, zawadziłem także o Cejlon, i kto wie, czy z pośród wszystkich wzdzięków cudów nie najgłębiej utkwiła mi w pamięci ta wyspa, pełna intensywnych barw. Nigdzie może nie spotkałem tak malarskiego zestrojenia kolorów, od głębokiego szmaragdu morza począwszy, poprzez błękit nieba, zieleni roślinności, niewiarygodny przepych owoców i kwiecica, poprzez różnorakie odcienie skóry tuziemców, czarnej prawie w wielu kulieów i mierzakach mocno śniadej u przedstawicieli wyższych kast. I te stroje, te ruchy pełne gracji! Pamiętam widzianą w dżungli dziewczynę o hebanowej niemal karnacji, spowitą w strzęp jaskrawo-żółtej materii, jak szła wyprostowana, wobec przelotnego deszczu kryjąc się pod szerokim liściem bananowym, wygiętym i niesionym nad głową oburącz niby luk zielonej tęczy. Pomiętam ciężką arbę w dwa kremowe zębu, których nieskończenie długie rogi miały złote ozdoby na końcach, a miedzianokory woźnica, w białym turbanie i sarongu szkarłatnym niby dymiąca jeszcze krew — siedział w kucki na dyszlu między ogonami zaprzęgu.

Wszystko to i znacznie więcej jeszcze widział Jan Tarnowski podczas trzytygodniowego pobytu na Cejlonie, a wrażenia swoje przekazał nam w książce zajmującej i sympatycznej, opatrzonej dwiema mapami: samej wyspy oraz miasta Colombo, — a także znaczną ilością autentycznych zdjęć. Obok obrazków rodzajowych z polowania, z targu na owoce, z botanicznego ogrodu i z plantacji herbaty, — mamy dużo danych faktycznych, dotyczących ludności, klimatu, flory i fauny. Po przeczytaniu tej książki nawet ktoś, kto nigdy nie był pod tropikami, nabierze o Cejlonie wcale wyraźnego pojęcia.

Autor nie jest zawodowym literatem, to też podał nam swoje przeżycia w formie niełatwiejszej: sumiennie prowadzonego dziennika, bez żadnej zmyślonej intrygi i bez upiększeń. Należy może czasami żałować braku intensywniejszych barw w kreślonych przezeń obrazach, ale nie można mu odmówić zmysłu spostrzegawczego i poprawnej polszczyzny.

J. B. RYCHLIŃSKI: *Przygody Krzysztofa Arciszewskiego*. Lwów — Warszawa 1936. Książnica-Atlas.

Z całej książki, moim zdaniem, najlepszą jest przedmowa — obezerna, a jednocześnie zwarta, barwna i zajmująca choć źródłowa. Dowiadujemy się z niej, kim był i co zdziałal Krzysztof Arciszewski, nie tylko żołnierz przedni, lecz także rycearz niezłomny, wspaniała postać, o której przeciętny Polak wie tyle zaledwie, że toczył walki na lądzie i morzu. Rychliński dziwi się zupełnie słusznie, iż Sienkiewicz tak mało miejsca poświęcił Arciszewskiemu w Trylogii, lecz my z kolei możemy ubolewać, iż jeśli znalazł się już autor, który się tak wybitną i ciekawą postacią zajął — nie uczynił tego w formie pełniejszej, dając jedynie szereg luźnych obrazków, powiązanych ze sobą w niedostateczną całość osobą głównego bohatera.

Widzimy więc Arciszewskiego pod La Rochelle, obleganą przez kardynała Richelieu, że zaś Rychliński lubi sytuacje sensacyjne i niesamowite, więc wplata tu wątek romantyczny: miłość pięknej cyganki do polskiego bohatera i krwawa śmierć dziewczyny pod młotem rozjuszonego współplemieńca. Widzimy dalej, jak w Niderlandach Arciszewski omal nie padł ofiarą zdrady, i jak dzięki sprytowi i męstwu cało wyszedłszy z tarapatów, żeglując przez morze ku dalekiej Brazylii. Przygodom na lądzie południowo-amerykańskim poświęca autor największą uwagę, a z pośród napotkanych tam postaci odmalowuje najstraszniejszą donnę Carlottę, piękną lecz krwiożerczą Hiszpankę, która, pod przewiskiem Czerwonego Jeźdźcy, zaciekle zwalcza polskiego wodza, kochając go zarazem namiętnie, i — jak się domyślać należy — nawzajem będąc przez niego kochana.

Styl Rychlińskiego, silnie archaizowany, jest chwilami dość niejasny, a porównania nie zawsze wypadają fortunnie. „(Carlotta) zaśmiała się cicho, rzekłszy wielki kot obli-

zuje swe wąsy“. „Twarz księżniczki drgła, jakby z niej rozpełzaly się węże“ — są to niewątpliwie określenia bardzo śmiałe, ale czy naprawdę trafne?

JERZY MARLICZ

ETNOGRAFJA

L. MALICKI: *Zarys kultury materialnej górali śląskich*. Katowice 1936; nakładem Muzeum Śląskiego w Katowicach.

Jako tom VI Działu I-go Wydawnictwa Muzeum Śląskiego w Katowicach wyszła ostatnio w druku wymieniona w tytule praca (4-ka, str. 103 i 113 ryc.), której wynikiem jest przedstawienie całokształtu kultury materialnej górali śląskich, t. j. tej polskiej grupy etnicznej, jaka zamieszkuje pięć wsi położonych w Beskidzie Śląskim, a mianowicie Brenne, Wisłę, Istebną, Koniaków, i Jaworzynkę. O charakterze pracy pouczają już same tytuły rozdziałów. Całość publikacji jest podzielona na dwie główne części p. t. *Obszar etnograficzny i kultura materialna*. Część pierwsza uwzględnia: opis wsi, klimat, osadnictwo, etosunki antropologiczne i narzęcze góralskie. — W części drugiej, zredagowanej na podstawie własnych badań terenowych, prowadzonych w latach 1933 — 35, przedstawia autor w porządku rzeczowym następujące zagadnienia i przejawy kultury ludowej: środki utrzymania, zbieractwo, łowiectwo, rybołówstwo, hodowlę zwierząt, pasterstwo szalańskie, pszczelarstwo, uprawę ziemi, przygotowanie pokarmów, obróbkę drzewa, plecionkarstwo, obróbkę włókna i wełny, obróbkę rogu i skór, garncarstwo, odzież, budownictwo, rozmieszczenie chałup, sprzęty, zabiegi o czystość, transport i komunikację. Uzupełnienie książki stanowi spis literatury, obszerny słowniczek gwarowy i streszczenie francuskie.

Praca młodego badacza, dokonana na podstawie bardzo starannie zebranych materiałów faktycznych, przynosi cały szereg cennych spostrzeżeń. Z tego rzeczowego opisu kultury górali śląskich wynika, że w Beskidzie Śląskim przetrwało sporo tradycyjnych form kulturalnych obok zjawisk nowszego pochodzenia, że wreszcie znamieniem tej kultury jest ustawiczne ścieranie się tradycji z wytworami kultury miejskiej, której przewaga staje się ostatnio coraz silniejsza. Powyższy zarys kultury przeważnie technicznej i gospodarczej, przyswojonej sobie przez ludność Beskidu Śląskiego, ułatwi znakomicie przyszłe badanie porównawcze nad związkami tej kultury z kulturą innych polskich grup etnicznych oraz ustalenie miejsca, jakie winno przypisać góralstwu śląskiemu w obrazie kultury ogólnosłowiańskiej.

POPULARYZACJA WIEDZY

K. FRISCH: *Życie pszczół*. Przełożył dr. W. Adolph. Biblioteka Wiedzy, tom 16. Warszawa (1935). Trzaska, Evert i Michalski.

Oto zjawisko niezwykle ciekawe i znamienne: w tworzeniu i urabianiu poetyckiej wizji świata zaczął współpracować z poetą — naukowcem. Ten, w którym zwykło się widzieć wcielenie wręcz dogmatycznej bezwzględności i wroga wszelkiej fantazji, wiernego tylko suchej cyfrze i podreżnikowemu dowodzeniu.

Jakże to więc możliwe, że naukowiec staje u hoku poety?

Oto w ten sposób, że przenikliwe i coraz dogłębniej odkrywając świat przez uczonego doprowadza wreszcie do takiego momentu czułości i ostrości widzenia, że następuje wręcz *p o e t y c k a r e w e l a c j a*. W swym odkrywczym rozpędzie nauka wyprzedza dziś zresztą i dystansuje najsmielsze choćby wizje poetyckie.

Frisch podjął zadanie niełatwe, jeśli zważyć, że istnieje głośnie dzieło Maeterlincka *Życie pszczół* oraz Bonselsa *Pszczola Maja*, obydwa pełne — jak przynajmniej sam Frisch — świetnych obserwacji natury i dające wysoką satysfakcję znawcom.

Magja pszczelonego życia, jego uroki, tajemnice i niespodzianki — są jednak tak bogate i pełne ważkiej treści, że — mimo świetnych poprzedników — Frisch zdolał napisać książkę o pszczolach niezwykle interesującą. Tem przedewszystkiem, że odcina się odmiennym traktowaniem tematu od pokrewnych książek, a zwłaszcza — Maeterlinckowskiej.

W książce Maeterlincka z trudnością odnaleźć mógł czytelnik granicę i odróżnić, gdzie kończy się obserwacja naukowa a rozpoczyna poetycka fantazja.

Frisch zastrzega się: podaje fakty, obserwacje, eksperymenty. Nic ponadto. I oto niespodzianka: sucha — według zapowiedzi autorskiej — relacja wypadła barwnie, bezmala sensacyjnie, w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Swą wędrówkę po niezbadanych jeszcze w całości obszarach życia pszczelonego rozpoczyna Frisch od ula. Odrzuca stajemy wobec pasjonujących zagadek. Zdumiewa doskonale ekonomia budowy komórek: komórek sześciokątnych, które przy *maksymalnej* swej pojemności pochłaniają *najmniejszą* ilość materiału budowlanego. Nierozstrzygnięta dotąd w świecie naukowym jest kwestja, jak pszczoły doszły do tej najlepszej i najoszczędniejszej formy miodnych plastrów.

Z kolei Frisch opisuje pożywienie pszczół. Towarzyszy pszczole-zbieraczce w wyprawie po miód, który gromadzi ona w swym „spolecznym żołądku“. Technika zbierania miodu i pyłku kwiatowego znów stawia nas w obliczu zdumiewającej, daleko posuniętej racjonalizacji pszczelnej pracy.

Potem odelania Frisch tajniki rójki i walki królowej, owego dramatu ula, w którym pszczoły objawiają swą bezwzględność i brutalność. Dyktuje je naprawdę dobrze gatunku.

Druga — obok walki królowych — dramatyczna rozgrywka w ulu to wypędzenie trudni: zorganizowany bojkot i maltretowanie, trwające tygodniami i wzbierające stopniowo, aż do chwili śmierci ostatniego trutnia. („Przyroda nie zna sentymentalizmu“ — notuje przy okazji Frisch).

Interesującymi przykładami prostych i przekonujących doświadczeń, nietrudnych zresztą do powtórzenia przez czytelnika, opowiada Frisch o harwnem wizeniu pszczół: o tańcu wywijającym zbieraczek miodu, jako metodzie porozumiewawczej.

Oryginalnymi eksperymentami dowodzi Frisch pamięci czasu u pszczół i ich zdolności orientacyjnych. Bogatym tedy zespołem doświadczeń objawia Frisch tajniki pszczelnej inteligencji.

Wielu jeszcze zagadnień życia pszczelego nie rozwikłała nauka. Nie wiemy więc dotąd, o czym już wspominałem, jak pszczoły doszły do maksymalnej ekonomii w architekturze ula? Nie wiemy — jak osiągnęły pszczoły dokładną regulację temperatury ula? Z jaj niezaplodzonych przez królową powstają samce, z zapłodzonych natomiast — samice, t. j. królowe i robotnice. Otóż nie wiemy również, dlaczego pleć jest tu uzależniona w ten sposób od zapłodnienia. Ten wyjątkowy i występujący prawie wyłącznie u pszczół rodzaj determinacji płci — jest niewyświetlony jeszcze przez naukę.

I takich zagadek tai jeszcze życie pszczół — wiele.

Odrębne zagadnienie, oddawna już pasjonujące nie tylko przyrodnika, lecz również socjologa — to organizacja pszczelego społeczeństwa.

Z pośród mnogich tu kwestyj chciałbym zwrócić uwagę na podział pracy u pszczół. Wśród pszczół-robotnic istnieje ściśle podział pracy. Przez paralelę z ludzkimi stosunkami można rzec, że w ulu są nauczyciele (pielegniarki czerwiów), policjanci, cieśle, zamiatacze ulic, cukiernicy. Paralela ta jest jednak powierzchowna. Zasada podziału pracy u pszczół jest odmienna z gruntu, niż u ludzi.

Pszczoly-robotnice zmieniają zajęcia wraz z wiekiem i w ciągu życia przechodzą kolejno wszystkie zawody, jakie istnieją w pszczelom społeczeństwie. Każda rozpoczyna karierę od sprzątania, a kończy na zbieraniu miodu i pyłu.

FELIKS BURDECKI: *I. Światy planetarne. II. Lot w stratosferę*. Warszawa (1935). Gebethner i Wolff.

Obydwe książki Feliksa Burdeckiego, ukazały się w ramach cyklu *Polska i świat współczesny*, który już obejmuje kilkadziesiąt estetycznie wydanych tomików. Cykl ten o trafnym doborze zarówno tematów jak i autorów przeznaczony jest dla młodzieży.

W opowieści o światach planetarnych wtajemnicza Burdecki młodego czytelnika w zagadki kosmosu, odcytane z letniego firmamentu. Tok opowiadania o planetach, gwiazdach, olbrzymach i karłach wszechświata jest przejrzysty, spełniając tem samym warunek przystępności dla młodego laika.

Książka ujęta jest w formę rozmowy między stryjem a bratanikiem. Ta konstrukcja książki jest może najsłabszym jej punktem. Bratanek pyta. Stryj odpowiada i, rzecz jasna, wszystko wie.

Ta metoda popularyzacji w formie dialogu między „nic nie wiedzącym“ a „wszechwiedzącym“ jest naprawdę wypróbowana, ale przestarzała. Wszechwiedza stryjka wyda się niejednemu młodym czytelnikowi podejrzana i mało przekonująca.

Druga książeczka p. t. *Lot w stratosferę* odtwarza dzieje podbojów powietrznych człowieka. Od startu balonu braci Mont-

golfer, gdy na próbny lot wysłano pod niego... kaczkę, koguta i owcę — do wspólnych lotów stratosferycznych Piccarda i sowieckiego balonu „Ossoaviachim“. W toku tej opowieści autor omawia w przystępnej formie naukowe zagadnienia związane z lotami stratosferycznymi.

Książka napisana jest żywo i barwnie, a temat jej jest niezwykle aktualny i pasjonujący nie tylko dla młodzieży, lecz również dla dorosłych.

Obydwie książeczki potwierdzają opinię o wielostronności zainteresowań i zdolnościach popularyzacyjnych autora.

JOZEF SZPECHT

my — różne, a metody — inne. Starsze harcerstwo jest jakby udoskonaleniem, wyższym rodzajem służby harcerskiej, osiągalnym dla tych tylko, którzy przez lata czynnej pracy dotarli do kręgu starszoharcerskiego. Z uwagi na wielką aktualność i ważność tematu książka Piskorskiego jest wydawnictwem wyjątkowo interesującym i na czasie.

ALEKSANDER CZYZEWSKI

M U Z Y K A

Dnia 16 marca w Konserwatorium dał L. D. Callimahos recital na flecie. Była to swojego rodzaju rewelacja. Flet, przeciętnie biorąc, to składowy instrument orkiestry, często używany składnik „barwy“ brzmienia, lecz rzadko wydobywający się na pierwszy plan w utworze symfonicznym. Jako instrument solowy, nawet dla kogoś biegłego w arkanach instrumentoznawstwa, kojarzy się flet z jakąś sentymentalno-romantyczną aurą postaci powieściowych, lub też z kolorytem antycznym raczej niż ze współczesną estradą, okupowaną niemal wyłącznie przez fortepian, skrzypce i śpiew. L. D. Callimahos, flecista grecki, rozwił swym recitalem ten zakorzeniony „przesąd“. Sprawiała to jego zdumiewająca biegłość w traktowaniu instrumentu, połączona ze szczerem, subtelnym talentem muzycznym. Wierzyć się nie chce, by z tej prostej rurki, opatrzonej paru dziurkami i klapkami, można było wydobyć takie bogactwo tonów, przejść i kontrastów dynamicznych, takie furje tempa i rozlewności, takie wycieniowanie barwy. Ton fletu, jego wydobyte brzmienia, nie da się porównać z niczym. Ani dotknięcie smyczka, ani uderzenie klawisza nie daje tego efektu, co technicznie wydechu. Dźwięk płynie odmaterializowany, pełny, przedziwnie „okrągły“ i w tym jego uroczna siła, magnetyzująca ludzi i węże. Gra L. D. Callimahosa nie ma jednak w sobie nic z sensacji prestidigitatora. Jest to gra w wielkim stylu, łączy się w niej poważny artyzm z świetnością błyskotliwego wirtuoza. Wykazał to i dobór programu, na który złożyły się dwie sonaty: z epoki klasycznej — Giovanniego Platti i z okresu nowoczesnego — Filipa Gaherta, oraz Sonata op. 12 Ph. Jarnacka. Oprócz tych utworów, dużych rozmiarów, szereg drobniejszych, również oryginalnych (C. Debussy, M. Ravel, A. Greczaninow) i transkrypcyj (J. S. Bach-Callimahos — Polonez i Badinerie z suity h-moll, Mozart, Haase). Soliście doskonale towarzyszył na fortepianie Paul Ulanowski.

W dwa dni potem grał w tejże sali Konserwatorium Alfred Cortot. Znany warszawskiej publiczności i ceniony pianista miał chyba swój „zły wiecór“. Niedyspozycja wewnętrzna nie przekreśliła oryginalnych właściwości tego świetnego wirtuoza, ale to, co bije jako irracjonalna sugestja talentu, zszarżało w manieryzm. Najlepiej z bogatego programu wypadła bodaj fuga z Concerto da Camera Vivaldiego, szereg momentów *Apassionaty*, z długiej listy utworów Chopina — dwie etiudy.

Soliście piątkowego (z d. 20 marca) koncertu symfonicznego w Filharmonii był Imre Ungar, niewidomy pianista węgierski. Grał on Mozarta Koncert fortepianowy d-moll, a potem solo Beethovena sonatę e-moll op. 90 i Chopina Balladę f-dur. Trzy wielkie nazwiska, trzy odrębne style. W odtworzeniu utworów tych wykazał I. Ungar pogłębiającą się intuicję muzyczną, świadomość opanowania, świeżą elastyczną technikę, naginającą się do wymagań charakterystycznych każdego z wykonywanych dzieł, co razem wzięwszy, świadczy dodatnio o rozwoju talentu tego młodego pianisty. Część orkiestrową wieczoru wypełniły: Druga symfonia op. 8 K. Sikorskiego, tegorocznego laureata Państwowej Nagrody Muzycznej, Srawińskiego Suita na małą orkiestrę i niepotrzebnie przeciążający obfity program poemat symfoniczny C. Francka — *Strzelec potępiony*. Orkiestra pod batutą W. Bierdajewa wykonywała utwory te ospale, „bagatelizując“ często w poszczególnych głosach tekst nutowy.

Znakomita śpiewaczka Ewa Bandrowska-Turska po długim szeregu występów na estradach zagranicznych, ostatnio głównie w Rosji Sowieckiej, dała jeden recital w Warszawie. Program recitalu miał charakter „kompromisowy“ w tym sensie, że zawierał parę aryj (Grétry, Isouard), które, podkreślając znany talent dramatyczno-aperowy i szlachetną koloraturę śpiewaczki, dawały pole dla odrębnego stylu śpiewu estradowego. Z drugiej strony, wśród kilkunastu pieśni znajdowały się i takie (np. *Liadow — Aślanow — Tabatière musicale*), które wymagały prócz odśpiewania „gry“ mimicznoruchowej i specjalnej ekspresji w traktowaniu tekstu słownego, zespólnego ze śpiewem. W tak dobranym programie zdołała śpiewaczka ujawnić wszystkie rysy swe-

go talentu. Wśród nich, prawem kontrastu, a może na skutek indywidualnych upodobań, ze szczególną siłą ujawniła się zdolność do pieśni jako rodzaju swoistego, w którym istota i głębia artysty polega nie na efektownej sztuce wirtuozerii, lecz na lirycznej prawdzie duszy ludzkiej, wyrażającej się zespólnym tekstem słów i muzyki. Takie pieśni jak *Wiegenlied* Regera, *Pastereczka* Drège-Schielowej, *Zdies choroszo* Rachmaninowa są prostotą, bezpośredniością, wzruszają głęboko słuchaczy.

Odrębną „aurę“ posiadają audycje Polskiego T-wa Muzyki Współczesnej. Gdy koncerty w Konserwatorium lub Filharmonii są normalnym „rynkiem produkcji i konsumpcji“ na odcinku życia muzycznego, tutaj panuje duch pionierstwa, twórczego eksperymentowania, poszukiwanie kontaktu z tem, co „postępowe“ i odkrywcze w dzisiejszej muzyce. Pol. T-wo Muzyki Współczesnej stanowi „kapliczną“ w której prawdziwie odprawia się nabożeństwo na ołtarzu bożka nowoczesnej muzyki, jednak nie czuć tam, jak dotąd przynajmniej, ciasnego, doktrynerskiego sekciarstwa. Dla tego audycje te, mimo skromnych warunków, są tak pożyteczne i odznaczają się ujmującym nastrojem żywotności. Ostatnia poświęcona była muzyce jugosłowiańskiej. Po słowie wstępnym Bolesława Woytowicza, który poinformował słuchaczy o różnorodności czynników, składających się na współczesną muzykę jugosłowiańską, wykonane zostały utwory: Demetria Zerba (kwartet smyczkowy), Slavka Osterca (*Toccata, Procesja*), Fanza Szturma (*Scherzo z suity fortepianowej*) i Predraga Miloszevića (*Mała suita fortepianowa*).

Festival muzyki francuskiej (z dn. 27 marca) poza to, że program składał się wyłącznie z utworów francuskich, niewiele różnił się od zwykłego piątku symfonicznego w Filharmonii. Wprawdzie solistą był Jacques Thibaud, ale wykonany przez niego koncert skrzypcowy Saint-Saënsa, odznaczający się dobrą robotą starego majstra i balańskością, nie dał pola do popisu poważnemu talentowi skrzypka. Znacznie ciekawiej wypadła część symfoniczna. Orkiestrę prowadził Zygmunt Latoszewski, dyrygent polski, znany już w Warszawie. Latoszewski posiada gest władczy, znaczną rutynę, dzięki czemu orkiestra grała sprawnie, z widocznym zapalem, ulegając „wykonawczym“ zamierzeniom dyrygenta. Koncert w stylu teatralnym Couperin-Cortota, P. Dukasa — *La Péri*, H. Rabauda — *La procession nocturne*, utwory różnych epok i etylów wywoływały żywe zainteresowanie nie tylko swą nieograniczoną „nowością“, ale i przejawiającą się w ich wykonaniu indywidualnością dyrygenta.

Koncert Łotewskiego Chóru Reitera wniósł w atmosferę koncertów w Konserwatorium siew egzotyki. Niedługo zresztą, że członkinie chóru ubrane były w narodowe stroje łotewskie (panowie we frakach). Płynęło to ze źródeł znacznie głębszych, mianowicie stąd, że zarówno program jak i jego wykonanie dały możliwość odczuć istotę ducha narodowego Łotwy. O sztuce i kulturze łotewskiej czytelnicy *Pionu* otrzymali autorytatywne informacje w numerze 13 b. r. Tam też była mowa o Teodorze Reiterze i przez niego zorganizowanym chórze. Chór ten ma charakter narodo-ludowy (jeśli chodzi o nasze stosunki, to pewną analogię możnaby znaleźć z hylą Kapelą Ludową Kazury) i jako taki osiągnął bodaj najwyższy poziom. Program koncertu był bogaty — piętnaście pieśni choralnych kompozytorów łotewskich, o wielkiej różnorodności w charakterze, stylu i rodzaju. Wszystkie jednak łączy jakaś swoista „nuta“ odróżniająca muzykę łotewską od innych narodowości. Uwypukliło się to bardzo wyraziście, gdy chór, wdzięczny za szczerze oklaski słuchaczy, zaśpiewał polską piosenkę ludową „W ogródeczku róże“, w opracowaniu Lachmana.

ST. FURMANIK

każą wiele wymagać od dramatu, który porusza się na taki temat. Chciałoby się znaleźć w nim, w formie prostej i surowej, tę walkę na śmierć i życie, która ukazuje charakter ludzkie w mętnej prawdzie — prawdzie strachu, upodlenia, dumy i bohaterstwa.

Ale tutaj daremnieby tego szukać. Autor używa wymownej nazwy *Zamach* tylko dlatego, że konstruuje bombę teatralną. Jest to w gruncie rzeczy dość niewinny przyrząd do żeżenia włosów na głowie, ścinania krwi w żyłach, zapierania tchu i puszczenia mrówek na krzyże — co kto lubi, do wyboru. W jakie środowisko producent rzuca zniemacka ten swój nabój okropności, to właściwie niema większego znaczenia. Taka maszyna piekielna działa z jednakową pewnością w buduarze kokoty i w gabinecie ministra, w sypialni poczytywych mieszczuchów i na poddaszu anarchiści. Mechanizm jej zupełnie jest niezależny od namiętności społecznych i politycznych, z których czerpie siłę każdy dramat większego wzrostu. Dlatego sztuki tej kategorii winny unikać najłżejszych bodaj wzmianek o rzeczywistości jak djabeł święconej wody. Jedno nieopatrzone słówko ma tu skutki tak zgubne, jak jeden chybiony ruch w popisach „magika“, który wkłada do cylindra jaką a wytrząsa gołębnie. Somin popełnił taką nieostrożność, umieszczając akcję w robotniczym Wiedniu. Od chwili zorientowania się w tem, stale patrzymy mu na ręce — nietrudno też jest dostrzec, że ręce te nie odznaczają się szczególną zręcznością.

Umieją w każdym bądź razie naznaczyć dość efektywnych okazji do popisów sztuki aktorskiej i to zostało przez Jaracza i Eichlerównę wyzykane znakomicie. Jaracz sięgnął do swoich dawnych wspomnień i zagral jednego z tych małych i krzywdzonych ludzi, których dławi bezlitośnie okrucieństwo losu. Jego Bergman — w czem aktor nie poprawiał autora — miał w sobie więcej przewrażliwienia, sentymentalizmu i bezruchowości jakiegoś drobnego urzędnika, niż siły i wstrzemięźliwości uczuciowej robotnika. Użył Jaracz w ten sposób ogromną różnorodność i dosadność wyrazu, w którym musiałby się miarkować przy innym ujęciu. Odpowiednio unerwione, wszystkie te gwałtowne skoki uczucia — od nadziei do rozkoszy, od buntu do rezygnacji, od niepokojów do ośpienia — odhijały się w masce i postawie z ekspresją nadzwyczajną, nie lekającą się brzydoty strachu i hezylity. Ale przy takim poddaniu się intencjom autora przegodził poważnie niebezpieczeństwo i Jaracz nie zdołał go uniknąć. Oto dość dziwnie było patrzeć, jak coraz potężniej zaskaka mu ręce na szyi, nalewając twarz krwią i wysadzając oczy, los — wycięty z tektury i poruszany przez autora systemem sznurków. — Eichlerówna tworzyła silny kontrast dla tego wzburzenia, budując swą postać z eennego spokoju, z bładości zdradzającej stan ciągłego przerażenia, z jakiejś niepokojącej tajemniczości. Była w tem tak sugestyjna, że przywołała na pamięć zjawę *Lady Macbeth* — któż, jeśli nie ona, weźmie po Modrzejewskiej krwawy sztylet, rdzewiejący w rekwiizytorii! Po wyzbiciu się tajemnicy, jak po zgubieniu talizmanu, opadła jednak z sił i w partii końcowej nie umiała się zdobyć na dramatyczność i prostotę.

W reżyserji Perzanowska stopniowanie efektów przeprowadziła z wprawą przynajmniej Wallace'a. Daszewski dał wnętrza proste i chłodne, nie wtrącające się do zdarzeń sztuki. Nie można ręczyć, znając jego zmysł humoru, czy w skrytości ducha nie pragnął pomalować ścian w trupie główki i skrzyżowane pieczęcie. Byłoby to jednak złośliwość, która — jak wiadomo — nie idzie zamiarom „wielkich wstrząsów“ na zdrowie.

TEATR LETNI: *Pierwszy występ Jenny*, komedia w 3 aktach WALTERA ELLISA, przekład Ireny Koralowej, reżyserja Emila Chaberskiego, dekoracje Stanisława Jarockiego.

Jeśli ta Jenny różni się czemkolwiek od swych licznych poprzedniczek zwanych sentymentalnie „Kopciuszkami“, to dlatego, że grają ją Romanówna znacznie lepiej, niż zwykło się grywać takie ubogie sierotki. Trzeba mieć dużo usprawiedliwionej ufności we własną sztukę, aby tak się zhrzydzić, jak to robi ta doskonała aktorka, ukazująca się publiczności w znoszonej sukieneczynie, welnianych pończochach i przydeptanych pantoflach. Niewiele z naszych „pierwszych młodych“, dbalych o staroświeckie przywileje scenicznej elegancji, umiałoby się zdobyć na takie bohaterstwo. Wyrzeczenie się dla dobra postaci zwykłej kokieterji ubioru, wdzięczność póź, ozdobnego ustawiania nóg — to niehylejaka ofiara. Nie umniejsza jej to, że autor, pragnąc zachować dobre stosunki z teatrem, w akcie następnym rujnuje się na wspaniałą euknię i wynagradza poświęcenie aktorki sposobnością do olśniewającej przemiany. W grze Romanówny.

T E A T R

TEATR ATENEUM: *Zamach*, sztuka w 3 aktach W. O. SOMINA, przekład Marjana Hemara, reżyserja Stanisława Perzanowskiego, dekoracje Władysława Daszewskiego.

Sądząc z tytułu, możnaby spodziewać się jakichś wydarzeń wielkich i krwawych, gdyż słowo „zamach“ ma za sobą długą, romantyczną legendę. Żyjąc w niem namiętności gwałtowne, nadzieje szalone i niespełnione, ludzie o twarzach rozczarowanych huncem, bładzi śpiewokocy krążący ulicami, kobiety o przeczystych oczach natchnionych doktryną... W niem wyładowują się gniew społeczny, drży liryczne pragnienie sprawiedliwości, wreszcie ukazują się czyjeś oczy wytrzeszczone w śmiertelnej twórcze i wzbija się nagle z bruku czarna chmura o płomiennym jądrze. Te sugestje słowa

pełnej temperamentu, uczuciowości i humoru, przemiana ta jest istotnie olśniewająca.

Przedstawienie ma jeszcze jedną znakomitą pozycję: wrózkę przemienioną w starszego pana o ruchach niezdecydowanych i powolnych, mowie zacinającej się, uśmiechach zakłopotanych, słowem — w Zniczu; mało która wróżka tak czaruje ludzi swą laseczką, jak ten Tobiasz Marx słoikiem konfitur.

Inne pozycje są pewne: napuszona lady Blundell to Dułęba, lokaj szczególnego dostojństwa — Zajdowski, wytworny baronet — Różycki, żwawe księżątka z Balkanów — Roland... Zawodzi ponad wszelką wątpliwość jedna rola — Halka jako zła siostra przykry charakter wyjawia tylko za kuliasami, kiedy jeden z wprawnych mechaników imituje hałas rozbijanych przez nią wazonów; na scenie pragnie być równocześnie antypatyczna i urocza i ten zbytek dobrych chęci sprawia, że rola rozłazi się w ręku.

Chaberski wyreżyserował sztukę — oczywiście! — lekko i zgrabnie, grzesząc tylko zbyt dużym szacunkiem dla rozwlekłości tekstu. Jarocki ze smakiem wystawił i umeblował dwa wnętrza zamożnego domu angielskiego.

BOHDAN KORZENIEWSKI

PRZEGLĄD PRASY

O WYŻSZY POZIOM NIENAWIŚCI. Rozważania J. E. Skińskiego w *Pionie* nad niskim i demagogicznym sposobem zwalczania zwolenników „abstrakcjonizmu” w malarstwie przez t. zw. tematowców, można rozszerzyć na inne dziedziny życia kulturalnego w Polsce. Żyjemy w czasach, w których przyzwyczajono nas nie do lojalnej walki o zasady, ale do nienawiści, nie cofającej się przed żadną metodą działania, byleby tylko przeciwnika „unicestwić”. Publiczność, przyzwyczajona w dużym stopniu do traktowania sporów kulturalnych jako rozgrywek osobistych, zajmuje zwykle stanowisko obserwatora „sportowych wyczynów” zaciętych dyskusantów. Niejednokrotnie podkreślaliśmy wynikające z tego obserwatorskiego stosunku publiczności rozwydrzenie polemiczne. Szczególnie t. zw. „opinija” proletariacka dawała często widowisko pod względem kulturalnym pożałowania godne. Byłoby niesprawiedliwością nie podkreślić niemniej smutnego widowiska, jakie dają t. zw. publicyści narodowi. W rozważaniach swych nad niemilem zjawiskiem zażydzenia kulturalnego Polski tracą nazbyt często wszelką lojalność polemiczną, takt i poczucie humoru. Można by powtórzyć słowa Skińskiego: rozumiemy wszelką walkę, nie możemy zrozumieć w żadnym wypadku pewnych metod, kompromitujących etycznie i intelektualnie tego, kto ich używa. Przykłady: artykuł Tuwima w nr. 12 i 13 *Wiadomości Literackich*, w których znakomity poeta omawia wystąpienia publicystów narodowych przeciw niemu.

KAKAO SUCHARD JEST NAJLEPSZE! Odwrotną stroną medalu jest nieprzytomne reklamiarstwo, panujące w publicystyce kulturalnej. Traktowanie przeciwników *en canaille* ma odpowiednik w gloryfikowaniu bez zastrzeżeń i bez umiaru własnej pracy. Metody, stosowane dawniej, wydają się dziecinno wprost usiłowaniami wobec nowych metod, przypominających do złudzenia afisze, używane dla rozreklamowania towarów. Krzykliwość, tupet, zamaskowane pozorami teoretycznych rozważań (notabene świadczących o zadziwiająym braku tradycji i pogłębienia przedmiotu) są zjawiskiem nagminnym. Jak w nienawiści tracą się zdrowy sens i lojalność, tak w gloryfikowaniu nie zachowuje się umiaru. Ostatnio specjalnie często posługuje się tą metodą t. zw. awangarda (artykuły Peipera i Łaszewskiego w *Czasie*, wywiad z Peiperem w *Naszej Opinji*). Metoda ta wynika z magicznej wiary, że reklama da się wszystkim czytelnikowi narzucić. Traktowanie czytelnika jako najzupełniej biernej istoty, której zręcznie udało się narzucić drogą reklamy pewne nazwiska, jest zbyt naiwne. Panowie awangardiści wyobrażają sobie, że tylko zręczna, niekorzystna dla nich reklama jest powodem uznania *Skamandra*, a ich niepoczytności. Sprawa jest jednak trochę więcej skomplikowana. Świadczy o tym fakt, że poeci tego ruchu jak Przyboś i Czechowicz uzyskali dość dużą popularność

i wysokie uznanie. Nie wierzymy zaś, żeby najlepsza reklama zdołała narzucić pozycję Peipera i innych ścisłych ortodoksów awangardyzmu, albo wiarę w obiektywną wartość „teoretycznych” wywodów znawców poezji z pod znaku awangardy.

NASI BADACZE WPLYWÓW. Jeszcze przed kilku laty badanie wpływów uchodziło za metodę tak przestarzałą i nieudolną, że musiał stawać w jej obronie znakomity krytyk W. Borowy, w książce *O wpływach i zależnościach w literaturze*, oświeclającej zagadnienie całe rzeczowo. Obecnie rozkwitło ono niezwykle bujnie, zbyt bujnie, żeby jego rozwój można uznać za cechę pozytywną naszej krytyki. Badacze wpływów dochodzą do absurdu. Mniejsza o to, że każdy dostrzeże w jednym i tym samym utworze wpływy najzupełniej inne, ba, wpływy tak odmiennych autorów, że trudno nie uważać apodyktyzmu znawców w piśmie za zjawisko zgola humorystyczne. Gorzej jest, że dostrzegają oni wpływy tam, gdzie rozsądny człowiek, znający jako tako mechanikę twórczości, widziałby wyłącznie zbieżność słowną, cechującą zawsze pisarzy. „Wpływolog” z *Poprostu* nr. 16 popisuje się znawstwem w notatce p. t. „Nieobyčajność”. „Cytując czyjeś zdania, należy je zaznaczyć cudzysłowem, podać dzieło i autora. To obowiązuje nawet p. t. poetów. Czemu nie zrobil tego osławiony Łobodowski?” Oto dwie cytaty: „Więc kłęczą, ręce drgają od gorączki. W piach cieknie ruda oliwa, o d m i e r z a c z a e.” (Miłosz. *Pora z Poematu o czasie zastygłym*, Wilno 1933). „Ponure miasto we mgłach. Jękliwa skarga ryńien sączy codzienną opowieść, o d m i e r z a c z a e.” (Łobodowski, *Cmentarz Lubelski, Kamena*, nr. 6, luty 1936). Znaczący genetyk, stwierdziwszy zbieżność dwóch słów u obu aktorów (!), pisze: „Polecamy Łobodowskiemu opiece „wpływologów”, będą mieli prawdziwe używanie. Zwłaszcza w *Nocach Lubelskich* — istna popularyzacja niektórych zagarystów. Ostatecznie każdy ma prawo cytować cudze wypowiedzi, trzeba tylko je zaznaczyć cudzysłowami. Inaczej — coś w guście drobnej, kieszonkowej kradzieży”. Naszym zdaniem takie badanie wpływów, jakiego dopuszczają się pewni „krytycy”, w szczególności zaś krytyk z *Poprostu*, jest czemś gorszym nawet niż „coś w guście drobnej, kieszonkowej kradzieży”. Znając jego stosunek do omawianego poety, możemy tylko do niego zastosować tytuł notatki: „Nieobyčajność”.

MŁODOŚĆ BRZOWSKIEGO. Pisarzem, którego wybitny wpływ na współczesną myśl polską nie ulega najmniejszej wątpliwości, jest St. Brzozowski. Wpływ ten jednak jest wielki raczej ze względu na powierzchowną aniżeli na głębię jego oddziaływania. Brzozowski jest rozumiany powierzchownie: system jego myślowy oddziaływa jako zbiór hasel, prymitywizujących filozofję tego znakomitego krytyka. Z dzieła jego wybiera się aktualne myśli. Praca nad głębszym zrozumieniem Brzozowskiego jest mimo to dzieł nawet, które się o nim ukazały, dopiero zapoczątkowana. Stąd wszelkie studia wartościowe o tym pisarzu zasługują na bardzo baczny uwagę. *Droga* w pierwszym numerze h. r. umieściła pracę Kazimierza Jaworskiego p. t. „Katastrofa młodzieńcza w życiu Brzozowskiego”. Praca Jaworskiego nie ma charakteru relacji biograficznej. Autorowi zależy na przedstawieniu perypetyj intelektualnych Brzozowskiego. Z inteligencją przedstawia on drogi rozwoju intelektualnego znakomitego krytyka. Bardzo ważne jest stwierdzenie ważko-

ści przełomu religijnego w Brzozowskim oraz ogromnego wpływu na niego *Myśli Pascala*; szczególnie ważne, jeśli się uwzględni późniejsze nawrócenie Brzozowskiego na katolicyzm. Obok prac w *Verbum* jest artykuł Jaworskiego o Brzozowskim najwartościowszą pozycją ostatniego roku w zakresie studjów nad tym pisarzem.

W. BAK

MIMOCHODEM

PAN PROFESOR w roli proroka. Pod takim tytułem zamieścił *Warszawski Dziennik Narodowy* atak na profesora Znanieckiego. Nie podobały się anonimowemu autorowi wywody tego uczonego socjologa, słynnego zagranicą, a zwłaszcza w świecie anglosaskim.

Kapitałny artykuł. Zaczyna się od wyrzutów, że ten oto Znaniecki, profesor i socjolog „plecie” o cywilizacji wszechludzkiej, o jedności; potępia nienawiść i brutalność.

Jak tak można... i to ma być uczyony? Żeby nie było nieporozumień, żeby ktoś nie pomyślał, że to pomyłka, cytuje ów narodowiec nawet stronicę z książki *Ludzie terazniejsi a cywilizacja przyszłości*.

I JAPONJA ma takiego „profesorskiego masona”, czy też „masońskiego profesora” — pana Minobe. Człowiek ten ośmielił się dowodzić, jako znawca prawa konstytucyjnego, że władza mikada nie pochodzi od Boga. Ponieważ każdy dobry Japończyk wie, że mikado jest w prostej linii potomkiem bogini słońca, więc pan Minobe musiał być napiętnowany. Na szczęście skończyło się tylko na postrzeleniu. Pana Minobe odwieziono do szpitala z przedziurawioną nogą, a napastnika z przedziurawioną głową.

MUZYKA I FIZYKA. Co za zestawienie! A jednak obie te dyscypliny sztuki i nauki zgodne są w swej rewolucyjności.

Fizyka rozbiła materję, niepodzielny atom uczyniła podzielnym i dzieli go nadal... Elektron, jądro, proton, neutron — już trudno się w tem rozeznac.

Uczni muzycy pozazdrościli uczynom fizykom. Wzięli się porządnie do atomu muzycznego, to znaczy do starej pocziwej gamy siedmiotonowej. Gama nie wytrzymała: trzasła. Okazało się, że przez tyle wieków fałszywie pojmowaliśmy nietylko materję ale i muzykę, że gama siedmiotonowa jest do niczego.

Po rozmaitych rewolucjach zdawało się, że dobrnęliśmy do kreu, to znaczy do gamy dwunastotonowej i na Habie oraz Schönbergu i jego wiedeńskich apostołach-uczniach zakończyliśmy epokę rewolucji. Nic z tego!

Nie przebrzmiały jeszcze awantury na koncertach techniki dwunastotonowej, a już mamy nową wieść. Rosyjski uczyony muzyk, Ogolewiec, „odkrył”, że właściwie gama jest siedemnastotonowa! — taka tylko jest naturalna a wszystkie inne — sztuczne.

Na czym się też to skończy? Chociaż (jak pociesza Sergiusz Prokofjew) narazie nie mamy czem się martwić, wystarczy przecież „tylko”..... przepolować wszystkie czarne klawisze w fortepianie.

MISTER MORGAN jest wielkim miljonierem. O tem wie każde dziecko. Ale jest także socjologiem, twórcą paradoksalnych teoryj.

Don Morganów chce się szczyścić nie tylko fortuną i rywalizować z Rockefellerem ilością posiadanych akcyj (podobno co miesiąc kilkunastu ludzi pracuje niezmordowanie przez kilka dni w potężnych safec'ach nad obcinaniem kuponów). Starszy Morgan uchodził za matematyka i mecenas sztuki, skłonności natomiast juniora skierowane są ku socjologii. Ale to nie przypiera mu już sławy.

„Jeśli zniszczycie — twierdzi — klasę średnią, zniszczycie cywilizację”. Dla ścisłości trzeba dodać, że definiuje klasę średnią w sposób b. interesujący; do klasy średniej zaliczyć trzeba każdą rodzinę, która może pozwolić sobie na utrzymanie służącej (!).

Oto Morgan chwali się, że klasa średnia

na straty, które odcinają przyrody w związku z brakiem rozporządzeń wykonawczych do ustawy o ochronie przyrody. Zwłaszcza brak rozporządzenia Rady Ministrów o Parku Narodowym Tatrzańskim w sposób szczególnie dotkliwy dał się odczuć w zakresie ochrony krajobrazu Tatr.

Po przyjęciu do wiadomości Minister zapowiedział rychłe wydanie rozporządzeń o Państwowej Radzie Ochrony Przyrody i Komitetach Komisji Organizacyjnej Parku Narodowego Tatrzańkiego, która będzie miała za zadanie opracowanie projektu granic oraz sposobu zorganizowania tego Parku. W skład Komisji Minister W. R. i O. P. zamierza powołać, poza członkami Rady, również przedstawicieli miejscowej ludności i zainteresowanych towarzystw turystycznych i krajoznawczych.

Na zakończenie Minister W. R. i O. P. podniósł duże zasługi Rady i jej poszczególnych członków, zwłaszcza zaś długoletniego przewodniczącego Rady prof. dra W. Szafera.

Książki nadesłane do Redakcji

POWIEŚĆ

EMIL ZEGADŁOWICZ: *Zywołanie Mikołaja Srebrnospianego: Uśmiech*. Kronika zamierzonej przeszłości. Wydanie drugie. Z ilustracjami Zbigniewa Pronaszki. Kraków 1936. Księgarnia Nowoczesna.

TADEUSZ PEIPER: *Ma lat 22*. Powieść. (Z serji „Poprzez lata”). Kraków 1936. Koło Wydawnicze „Teraz”.

JOSEPH CONRAD: *Wykolejeniec*. Powieść. Przełożyła Aniela Zagórska. Tom I i II. Warszawa 1936. Dom Książki Polskiej. (Pisma Zbiorowe Josepha Conrada, tom II).

B. KLICZKA: *Dr. Nachtigall leczy psychoanalizę*. Powieść. Autoryzowany przekład z czeskiego Janusza Dawana. Warszawa 1935. Wydawnictwo Nowoczesne.

Dodatek SZTUKA I ANTENA ukaże się w numerze następnym.

SPROSTOWANIE. W numerze poprzednim, w art. H. Elzenberga *Pochwała żerowania*, str. 3, szp. 4, wiersz 21, zamiast *hold oddania* należy czytać: *hold oddalenia*.

„AJENCJA WSCHODNIA”

Sp. z o. o.

CENTRALA W WARSZAWIE, NOWY ŚWIAT 16,

podjęła się wydania specjalnego

„Warszawskiego Skorowidza Branżowego”

zestawionego w/g branż i zawodów.

Skorowidz zawierać będzie następujące rubryki: a) fabryki, b) wytwórnie mniejsze, c) fabryczne składy, d) rzemieślnicy, e) przedstawiciele, f) hurtownicy, g) detaliści, h) rzeczoznawcy sądowi, z podaniem wszystkich adresów odnośnej branży.

„Skorowidz” ten zostanie wydany w nakładzie kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy, w cenie popularnej, która wyniesie w przedpłacie zł. 6.— (bez kosztów przesyłki) za egz. Po wydaniu — koszt egzemplarza będzie wyższy.

„Skorowidz” będzie zawierał około 50.000 adresów warszawskich i format jego będzie zbliżony do formatu warszawskiej książki telefonicznej.

Zamówienia na poszczególne egzemplarze oraz na ogłoszenia w „Skorowidzu” przyjmuje

„AJENCJA WSCHODNIA”

WARSZAWA, UL. NOWY ŚWIAT 16, TEL. 244-62.

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., 1/2-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szer. 1 spalty — 60 gr. za tekst.; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI